№ 46 Warszawa, dnia 31 Października (12 Listopada) roku 1881.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Krolestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

OPOWIADANIA Z POBYTU W AFRYCE.

Przez

Stefana Marusińskiego.

(Dalszy ciąg.)

II.

La illah il allah, Mohamed rasul allah. (¹)

Słowa te przy dźwięku darhabuki, (²) arabskich fletów i rodzaju chińskich tam-tam śpiewane, zbudziły mię z przyjemnego snu w jakim byłem pogrążony. Zrywam się tedy, i pierwszego służącego który mi się nadarzył, zapytuję o znaczenie tej fantazyi (³). To mulit odpowiedział i pobiegł jak strzała w kierunku placu, ku któremu cała procesya z chorągwią Proroka i derwiszami tańczącymi na czele powolnym krokiem zdążała.

Całe miasto było w poruszeniu, strzały, okrzyki tłumu, żałobne zawodzonie kobiet i szczekanie psów, ogłuszyły mnie zupełnie; wolnym tedy krokiem szedłem ku domowi i spotkawszy szeika przed bramą pozdrowiłem go słowami, *salam alekum*, (⁴) życząc mu przytem dnia dobrego.

— Na dziś ciebie i twego przyjaciela zatrzymuję u siebie, rzekł do mnie, mamy bowiem uroczystość mulitu sławnego szecha Mahmuda.

Cóż było robić? Musiałem przyrzec, że zostaniemy bo o opuszczeniu miasta ani mowy być nie mogło. Przeprosiwszy go zatem i dziękując za jego grzeczność udałem się do sali, gdzie Antonin, który długo sypiać lubiał, przeciągając się na macie, przeklinał Proroka i w najlepsze marudził: Na moje zaś oświadczenie, że zaprosiny szeika w mojem i jego mieniu przyjąłem, zerwał się na równe nogi i biegając po pokoju co chwila wykrzykiwał:

— A co tego, to nadto, czyś oszalał mój drogi, że chcesz cały dzień zostawać jeszcze między tymi dzikimi ludźmi, to nie do uwierzenia!...

Udobruchał się przecież w końcu, i zaczęliśmy się ubierać. Niedługo potem zjawił się służący z kawą i przynaglał nas do pośpiechu mówiąc, że gadi, mufti i inni dygnitarze wioski na nas przed domem czekają.

— Nie ma nawet lusterka, aby się przejrzeć lub krawat zawiązać, powiada mój Francuz, cóż mi to za szeik!...

— A bądźże już cicho i spiesz się, odrzekłem mu, a na dziś możeszobejść się bez krawata, bo cię damom nie będą prezentować.

Wreszcie opuściliśmy dom i po kilku minutach stanęli na placu, gdzie po prezentacyi i pozdrowieniu zgromadzonej starszyzny, usiedliśmy na przeznaczonych nam miejscach pod namiotem szeika.

Plac ów na południe od wioski położony, zapełniony był namiotami, w których kupcy z okolicznych miast przybyli, rozkładali swe różnorodne towary. Rozmaitość i kontrast jakie zgromadzone tłumy przedstawiały nie są do opisania. Z jednej strony obszerne składy, pełne bogatych jedwabnych materyi, wokół których okoliczne wieśniaczki w ich malowniczych srebrem haftowanych strojach, tłumami przystawały, pasąc oczy tym pociągającym dla nich widokiem; obok, handlarz broni prezentował beduinom z pustyni długie żelazne strzelby, a ci okiem znawcy oglądając towar wykazywali wady i zalety tej lub owej sztuki.

Ówdzie znów uboższy kupiec nakryty szalem rozpiętym na skrzyżowanym kiju dla ochrony od słońca, zalecał otaczającym go murzynom szklanne perły, bransolety i kolczyki, a te córy Sudanu z wdziękiem i kokieteryą, którejby się i paryżanka nie powstydziła, przymierzały na nagiej piersi olbrzymie naszyjniki tombakowe, przeglądając się z zadowoleniem w kawałku rozbitego lusterka, które przemyślny kupiec do ich rozporządzenia u wierzchu swego zaimprowizowanego namiotu na długim sznurku zawiesił.

Gdzieindziej znów Mekkani (¹) w olbrzymich białych płaskich turbanach sprzedawali kobietom talizmany, (²) dla przyciągnienia i utrwalenia miłości ich mężów, a liczny zastęp żon potrzebujących ich, niebardzo dobrze wróżył o wierności Arabów tej okolicy.

Obok namiotu, gdzie sprzedawano kawę, młody Abissyńczyk dla uciechy dzieci, kazał tańcować olbrzymiemu pawianowi a zgrabne skoki i grymasy małpy wywoływały co chwila wybuchy radości i śmiechu, które to u mieszkańców południa w nadzwyczaj hałaśliwy sposób się objawiają.

Pomiędzy tym różnobarwnym tłumem przechadzają się powolnie Hindusi z drewnianemi naczyniami kryjącemi wężów, które na odgłos piszczałki ich mistrza opuszczając spiesznie dno naczynia, okręcają się około szyi i ramion czarownika, tworząc rodzaj żyjących naszyjników, a gdy piszczałka w coraz przeraźliwsze tony się odzywa, płazy owe zsuwając się powoli na ziemię i oparłszy na ogonie, naśladują zręcznie tony muzyki chwiejąc się w tę lub ową stronę. Obok tych wychodźców z nad Gangesu, siedzą Arabowie z północy try-

(¹) Nie ma Boga jak Bóg, Mohamed—apostoł Boga.

(²) Darhabuka — bęben arabski podłużnej formy, otwarty z jednej strony.

(³) Fantazya — tyle co zabawa lub uroczystość.

(⁴) Pokój wam.

(¹) Mekkani nazywają się mieszkańcy Mekki.

(²) Talizman arabski składa się z wiersza Koranu pisanego na kawałku pergaminu i zamkniętego w małym trójkątnym woreczku safianowym

mając na długich kijach kameleony, które drażnione przez otaczające pospólstwo, zmieniając barwę skóry, przyczyniają się niemało do podniesienia ogólnej wesołości.

Opuściwszy tę stronę placu, udaliśmy się z Antoninem gdzie kawę, sorbety, opium i haszisz sprzedawano; tutaj na nizkich i szerokich dywanach zasłanych matami z liści palmowych, zasiedli starsi Arabowie i murzyni przysłuchując się z ciekawością opowiadaniom historyi z czasów wielkiego kalifa. Niedaleko od tych kawiarń, w cieniu kilku palm tańczą derwisze tak zwani „zikri", w których zwykle 20 do 30-tu osób udział bierze. Ustawieni w 3 lub więcej szeregów, mając na czele Marabuta, (¹) derwisze ci w obdartych i brudnych szatach z długim kołtunowatym lub w warkocze splecionym włosem, przechylają bez przestanku górną połowę ciała w rozmaite strony i trzęsąc głową wyśpiewują harczącym głosem: „La il-la ha il Ałłah Mohamed rasul Ałłah!"

Widok ten nie jest do zniesienia; wykrzywione twarze, pianą okryte usta, konwulsyjnie drgające członki ciała, przewrócone i błędne oczy tych waryatów, raczej litość i obrzydzenie, niż jakąkolwiek ideę pobożności wzbudzają.

Pomiędzy otaczającym tłumem przewijali się mohametańscy święci, a fanatyczne pospólstwo z czcią i uszanowaniem całowało ich ręce. Co za obrzydliwy widok! Owi święci są to po największej części waryaci, których zbyteczne używanie hasziszu i opium do tego stanu przyprowadziło. Cały ich ubiór składa się jedynie z wysokiej czapki w kształcie głowy cukru pozszywanej z tysiąca różnokolorowych skrawków i kawałków, oraz z brudnej szmaty obwiązanej około bioder. Twarze ich, które rozpusta i bezecne życie zezwierzęceniem i głupotą napiętnowały, są odpychające, a wyraz oczu, z powodu używania haszyszu jest tak dzikim, że doprawdy obrzydzenie bierze patrząc na tych ludzi. Jest ich tu mnóstwo w górnym Egipcie, każda wioska bowiem i miasto posiada jednego lub więcej owych świętych.

Nie mogąc znieść dłużej sąsiedztwa tych fanatyków i przecisnąwszy się z trudem pomiędzy setkami wielbłądów i bawołów, które na sprzedaż przypędzono, wydostaliśmy się wreszcie na wolniejsze miejsce, leżące po za obrębem placu mulitowego.

Tu na piaszczystym pagórku pomiędzy wachlarzowemi palmami, beduini przybyli z pustyni rozpięli swe namioty.

Z prawdziwą przyjemnością przyglądałem się tym dzielnym synom pustyni. Ich białe, czyste burnusy malowniczo udrapowane, długie strzelby, bogato srebrem ozdobione pistolety i powiewne kofije (²) okrywające do połowy ich dzikie lecz przyjemne i wolnością oddychające twarze, tworzyły olbrzymi kontrast z tym pstrym tłumem niewolniczych Fellahów doliny Nilu.

Kobiety ich w długich naokoło głowy okręconych szalach, w rodzaju turbanów, i skromnych białych tunikach, które miękkiemi fałdy aż do ziemi spływały, siedząc przed namiotami, przypatrywały się z ciekawością uroczystości mulitu. Za całą ozdobę służyły im kolce podłużnej formy ze złota ulane, oraz szerokie srebrne bransolety otaczające ręce i nogi powyżej kostki.

Ich bronzowo-złotawa płeć ciała, piękne posągowe nieruchome rysy twarzy, wiotka, giętka kibić i smętne wejrzenie wielkich czarnych oczu, usprawiedliwiają zupełnie nazwę „gazelli stepowych" jaką Arabowie z nad Nilu kobietom Beduinów dają. Twarze ich, wbrew zwyczajowi Mohamedan, były odkryte, i nawet na widok mężczyzn nie zasłaniają się chustą, zanadto bowiem dobrze czują one swą wolność, aby się poddać temu barbarzyńskiemu zwyczajowi wylęgłemu w haremach, zazdrosnych i zniewieściałych baszów.

Mój towarzysz Antonin, który przez cały czas naszej przechadzki wszystko niżej krytyki stawiał i całe zgromadzenie do stada bawołów przyrównywał, na widok jednak tych dzielnych synów pustyni i ich zachwycająco-pięknych kobiet, udobruchał się najzupełniej i dziękował mi nawet, że go tutaj przywiodłem. Nie dziwota—jest on rodem z Algieru a widok Beduinów przypomniał mu żywo jego ojczyznę i młodzieńcze lata.

(D. c. n.)

(¹) Marabut — rodzaj duchownego wyższego stopnia.

(²) Kofija — rodzaj obszernej białej lub kolorowej chusty, którą beduini na fezie okręcają.

DO WIATRU.

Z MOTYWÓW LUDOWYCH.

Wietrze wiosenny skrzydlaty,
Poleć z mą myślą w te gaje,
Gdziem niegdyś zbierała kwiaty,
Patrząc w szemrzące ruczaje.

Gdzie mi znajome ptaszęta,
Za uchem rzewnie kwiliły,
Spytaj kto o mnie pamięta,
Czy o mnie ptaszki nucily.

A jeśli kogo poruszy
Piosnka o mojej tęsknocie,
To cząstkę małą mej duszy,
Zostaw mu w swoim polocie.

Gdybyś zaś znalazł gdzie łany,
W dalszej po świecie pogoni,
Gdzie tęskni za mną kochany,
I on ci łezkę uroni...

Powitaj mego lubego,
Niech łzy tęsknoty poruszy,
W dowód, że tęsknię bez niego,
Zostaw mu resztę mej duszy.

Więc wietrze wiosny skrzydlaty,
Poleć z mą myślą w te kraje,
Gdzie inne dla mnie są kwiaty:
Gdzie mój jedyny zostaje.

Janusz Bończa.

PRUSACY W FRANKFURCIE.

Przez

ALEKSANDRA DUMASA.

Przekład

J. B.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

Helena czuwała przy łożu Karola. Dwa razy w ciągu dnia tego schodziła modlić się przy łożu zmarłego szwagra, składała pocałunek na jego czole i powracała do rannego narzeczonego.

Karol był daleko lepiej; nie wyszedł jeszcze z niebezpieczeństwa, ale wracał do życia. Mógł już otwierać oczy i wpatrywać się w Helenę. Usta jego szeptały wyznania miłości, ręka odpowiadała na uścisk dłoni narzeczonej. Sam tylko doktór ciągle był zasępiony; wprawdzie nie szczędził rannemu słów zachęty, ale na wszelkie dopytywania Heleny odpowiadał:

— Trzeba czekać! nie mogę powiedzieć nic pewnego przed ósmym lub dziewiątym dniem.

I rodzina Fellnera w równie ciężkiej pogrążona była boleści. Wszelkie znakomitości miasta: senatorowie, członkowie Ciała prawodawczego, członkowie Pięćdziesięciu jeden przychodzili złożyć hołd zwłokom sprawiedliwego, składając na jego marach wieńce laurowe, dębowe i z nieśmiertelników. Mary te były prawdziwym wozem tryumfalnym. Nigdy żaden zdobywca wracający z wygranej bitwy i umierający otoczony chwałą nie zgromadził tyle łez, pochwał i modlitw.

Zaraz rano 26 lipca, gdy tylko zobaczono że usunięto armaty i rzeź nie groziła miastu, właśnie od chwili gdy już wszelką stracono nadzieję, tłumy zaczęły cisnąć się do bram obu domów pokrytych żałobą.

Tym razem Frankfurt miał do spełnienia coś więcej niż obowiązek towarzyski względem człowieka i urzędnika powszechnie szanowanego — winien był spłacić podwójny dług wdzięczności. To też od dziesiątej rano wszelkie cechy rzemieślnicze ze swemi chorągwiami zbierały się w Zeil jak w dnie uroczystych zabaw ludowych. Pomimo zakazu wywieszania chorągwi, łączyły się z nimi ciągnące z rozwiniętemi sztandarami, wszelkie rozwiązane stowarzyszenia, które zapragnęły żyć jeszcze choć jeden dzień dawnem życiem wolnego miasta.

Były to stowarzyszenia: karabinierów, gimnastyków, obrony narodowej, młodej milicyi, mieszczan z Sachsenhausen, oświecania pracowników i nowe stowarzyszenia mieszczan. Na większej części domów powiewały czarne chorągwie, a między innemi na gmachu Kasina należącego do najpierwszych obywateli miasta, na Klubie nowej unii mieszczańskiej, w domu przy ulicy Kom-Markt; na klubie dawnej unii mieszczańskiej, przy ulicy Eschenhein, liczącej przeszło dwa tysiące członków, i nakoniec na klubie mieszczan z Sachsenhausen.

Prawie równie liczne tłumy gromadziły się przy rogu ulicy Rots-Markt i Wielkiej, gdzie stał dom zwany pałacykiem Chandroz, choć nikt w rodzinie prócz jednej Heleny nie nosił już tego nazwiska.

W ulicy przytykającej do domu burmistrza, gromadziło się przeważnie mieszczaństwo i lud, zaś przed pałacykiem Chandroz zbierała się arystokracya z urodzenia, do której cała rodzina należała. Tu szczególniej zwracała uwagę znaczna liczba oficerów pruskich, którzy przybyli oddać towarzyszowi broni ostatnią przysługę, bez względu że mogą przez to narazić się na niełaskę swoich zwierzchników, jenerałów Roedera i Sturma, którzy zresztą zdobyli się na ten rozum, iż opuścili Frankfurt, nie zarządzając żadnych represyjnych środków.

Zresztą przed obu domami Frankfurtczycy objawiali jednakie uczucia wdzięczności.

Gdy radzca Kugler wyszedł z domu i zaczął iść za karawanem, trzymając za ręce dwóch synków zmarłego, rozległy się okrzyki: „Niech żyje pani Fellner i jej dzieci!" Chciano tym sposobem okazać żonie wdzięczność i cześć dla jej zmarłego mę-

ża. Okrzyki te doleciały jej w głębi oratorium, w którem w ową straszną noc modliła się do trzeciej rano; zrozumiała znaczenie tego uniesienia ludowego ze wszystkich serc wyrywającego się ku niej, i gdy wyszła na balkon otoczona czterema córkami, równie jak ona odzianych w grubą żałobę, cały tłum głośno zapłakał.

Toż samo miało miejsce gdy wyruszył pogrzebowy kondukt Fryderyka; wszak jemu i poświęceniu jego wdowy Frankfurt zawdzięczał ocalenie od ostatecznej jego zagłady!

Ze wszystkich piersi wydarł się okrzyk: „niech żyje pani von Below!" i nie ustawał dopokąd młoda i piękna wdowa nie ukazała się w czarnych wdowich szatach, otoczona jakby obłokiem czarnej krepy, aby jej okazano głęboką wdzięczność jaką całe miasto było dla niej przejęte. Gdy ukazawszy się w oknie, podziękowała ukłonem, między tym tłumem złożonym z różnorodnej ludności, wszędzie można było słyszeć:

— Jaka blada! jak jej pięknie w żałobie!

Jak nie wydano rozkazu oficerom, aby byli na pogrzebie Fryderyka, tak też i nie wykomenderowano doboszów poprzedzających zwykle karawan, ani żołnierzy odprowadzających zawsze do grobu zwłoki wyższego oficera; jednakże czy to skutkiem oswojenia z regulaminem czy przez współczucie dla zmarłego, tak dobosze jakoteż pluton żołnierzy przybyli uczestniczyć w pogrzebie. To też kondukt pogrzebowy postępował ku katedrze, przy głuchym odgłosie krepą pokrytych bębnów.

Oba orszaki pogrzebowe złączyły się w oznaczonem miejscu i postępowały równolegle ku kościołowi, zajmując całą szerokość ulicy. Przed wielkiemi drzwiami katedry zdjęto obie trumny i postawiono obok siebie, poczem na barkach wniesiono je do kościoła tak zatłoczonego od samego rana, iż zaledwie zdołano je ustawić w kościele. Za trumnami weszli wojskowi i dobosze, ale kilkotysięczny tłum musiał pozostać przed kościołem.

Zaczęło się uroczyste i poważne nabożeństwo żałobne; od czasu do czasu rozlegał się odgłos bębnów i kolb karabinów uderzających o posadzkę. Nikt nie mógłby odróżnić, któremu z dwóch zmarłych oddawano honory wojskowe; tak więc nieszczęśliwy burmistrz uczestniczył po śmierci w honorach oddawanych przez tych właśnie, którzy stali się przyczyną jego śmierci. Ze swej znów strony stowarzyszenie Lieder-Kranz od czasu do czasu śpiewało chórem żałobne pienia, a wtedy połączone głosy ludności zagłuszały bicie w bębny i odgłos kolb opuszczonych na posadzkę.

Jakkolwiek obrządki protestanckie, nie są tak wzniosłe i wspaniałe jak katolickie jednakowoż nadzwyczaj silne wywarły na obecnych wrażenie. Z kościoła wyruszono na cmentarz; burmistrzowi towarzyszył choralny śpiew żałobny, oficerowi muzyka wojskowa.

Stanęli nareszcie u kresu ostatniej podróży.

Ponieważ grób familijny rodziny Chandroz był w przeciwnej stronie grobu burmistrza, przeto na cmentarzu orszaki pogrzebowe rozdzieliły się i każdy poszedł za trumną tego, którego na wieczny odprowadzał spoczynek. Około grobu burmistrza odezwały się śpiewy i mowy i zarzucono go wieńcami nieśmiertelników; nad grobem oficera rozległy się wystrzały, od których żołnierz zadrga jeszcze w trumnie, i zasłano mogiłę wieńcami laurowemi, które lżejszem i milszem mu czynią miejsce ostatniego spoczynku.

Dopiero wieczorem skończył się podwójny obchód pogrzebowy, i rozdzielone tłumy wracały znów razem ponure i milczące, jak niepohamowany prąd wody do opuszczonego łożyska. Tylko dobosze, żołnierze i oficerowie ścisnęli się i ugrupowali w szeregi, idąc, jeżeli nie jak wrogi hufiec, to przynajmniej jak oddział nie mający nic wspólnego z ludnością.

Benedykt ciągle miał na myśli aby zaraz nazajutrz przedstawić się jenerałowi Sturm, jako wykonawca testamentu Fryderyka, to jest żądać od niego zadośćuczynienia za zniewagę wyrządzoną jego przyjacielowi. Ale wróciwszy z pogrzebu, zastał Emmę w tak strasznej pogrążoną boleści, Karola tak słabego i sędziwą baronowę tak przygnębioną wiekiem i nieszczęściami, iż pomyślał, iż może jeszcze nieszczęśliwa ta rodzina potrzebować go będzie. Otóż jedno z dwojga musi wyniknąć z takiego pojedynku jakim zagroził jenerałowi Sturm; albo on zabije jenerała, albo jenerał jego. Jeźli jenerał zostanie zabity, będzie musiał natychmiast opuścić Frankfurt, aby uniknąć zemsty Prusaków; jeźli przeciwnie on zostanie na placu, nie będzie mógł udzielić moralnej opieki, tak bardzo potrzebującej jej rodzinie przyjaciela.

Postanowił zatem wstrzymać się kilka dni, a tymczasem posyłał codzień jenerałowi swój bilet wizytowy. Tak więc Sturm miał dowód codzień rano, iż jeźli on zapomniał o Benedykcie, to Benedykt nie zapomniał o nim.

XLIII.

Tranzfuzya krwi.

Upłynęło trzy dni od powyżej opisanych wypadków; w obu rodzinach pokrytych żałobą uspokoiły się nieco najgwałtowniejsze wybuchy boleści.

Płacz zastąpił łkanie.

Karol miał się coraz lepiej. Od dwóch dni podnosił się na łóżku; nie odzywał się tylko urywanemi jedynie słowy i nie przemawiał do Heleny samemi tylko czułemi spojrzeniami, lecz mógł już brać udział w rozmowie. Mózg jego osłabiony jak reszta ciała odzyskiwał tę władzę jaką w stanie zdrowia wywiera na ciało.

Helena patrząc na to odradzanie się Karola i będąc jeszcze w tym wieku, kiedy to młodość posuwa się trzymając w jednej ręce dłoń miłości, w drugiej dłoń nadziei, cieszyła się tym widocznym jego powrotem do życia, jak gdyby miała zapewnienie Opatrzności, że żaden wypadek nie przeszkodzi niepewnemu wyzdrowieniu.

Chirurg dwa razy dziennie odwiedzał rannego, lecz jakkolwiek nie odbierał nadziei Helenie, nie powiedział jednak nic coby ją w niej utwierdzić mogło.

Karol widział tę nadzieję ukochanej, ale nie uszła jego uwagi postawa z jaką chirurg przyjmował radosne rojenia Heleny odnośnie do przyszłości.

I on także układał sobie projekta, tylko daleko smutniejsze.

— Heleno, mówił do niej, wiem wszystko coś uczyniła dla mnie. Benedykt opowiedział mi twoją rozpacz, łzy i trudy. Heleno moja! kocham cię tak wielką, tak samolubną miłością, iż pragnę, aby przed śmiercią...

Helena poruszyła się gwałtownie.

— Jeźli mam umierać, dodał, niechże pierwej mam prawo nazwać cię żoną, abyśmy, gdy w lepszym spotkamy się świecie, tak jak na ziemi i w niebie byli połączeni... Przyrzecz mi więc, mój opiekuńczy aniele, iż gdyby nastąpiło jakieś pogorszenie, którego doktor ciągle zdaje się obawiać, tak iż nie śmie nawet wielkiej robić ci nadziei — przyrzecz mi, że natychmiast zawezwiesz kapłana, aby połączył nas wiecznemi „śluby... A przysięgam ci, Heleno moja, że wtedy umrę tak spokojny i szczęśliwy, jak okropną byłaby rozpacz, gdybym przed skonaniem nie mógł powiedzieć: Żegnaj mi żono ukochana!

Helena wysłuchała tych słów z uśmiechem nadziei na ustach, obiecując sobie, że ukochany jej odzyska zdrowie. Prawie nie odstępowała od jego łoża; sama jedynie odpowiadała tak na smutne jak i weselsze jego słowa.

Gdy widziała go więcej osłabionym, kładła mu palec na ustach nie dozwalając mówić. Wyjmowała z biblioteki Uhlanda, Goethego, lub Schillera i czytała który z ulubionych jego poematów, i zawsze prawie uspokajał go melodyjny dźwięk jej głosu, zamykał oczy i powoli zasypiał.

Skutkiem tak wielkiej utraty krwi, Karol nadzwyczaj potrzebował snu. W takich chwilach, jak gdyby mogła widzieć w jego mózgu owe zapadające cienie, które zawieszając działanie władz umysłowych, sprowadzają sen, stopniowo zniżała głos i w połowie patrząc na książkę w połowie na chorego, przestawała czytać właśnie w chwili, gdy zaczynał usypiać.

Na usilne prośby i nalegania Karola, dozwalała aby Benedykt na parę godzin zastępował ją w nocy, ale i wtedy nawet nie opuszczała pokoju. W alkowie, gdzie dawniej stało jej łóżko, które dla łatwiejszego dostępu do rannego wysunięto na środek pokoju postawiono szeslong zasłonięty firankami, na którym używała spoczynku; spała snem tak lekkim jak ptaszek na gałęzi, i za najmniejszem poruszeniem w pokoju, za najciszej wymówionem słówkiem przez rannego lub Benedykta, wychylała główkę z za firanek, pytając niespokojnie: Co to?

Helena była jedną z tych niebiańskich istot, dla których niczem jest największe poświęcenie dla ukochanego; umiała spełniać je i ponosić największe trudy z taką prostotą i nieświadomością zasługi, jaką miała przed Bogiem i przed ludźmi.

W godzinach nocnych, w których Helena pozostawała sama przy rannym, Benedykt udawał się do pokoju Fryderyka, i tam ubrany rzucał się na łóżko, aby być gotowym na każde zawołanie, nieść pomoc Helenie, lub biedz po chirurga. Powiedzieliśmy wyżej, że zaprzężony powóz czekał zawsze przed domem, i szczególna rzecz im ranny zdawał się lepiej, tem doktor silniej nalegał aby nie zaniedbywano tej przezorności,

Nadszedł 30 lipca. Przesiedziawszy część nocy przy Karolu, Benedykt ustąpił miejsca Helenie i przeszedłszy do pokoju Fryderyka porzucił się na łóżko; gdy nagle zerwał się usłyszawszy głośny krzyk. Wtejże chwili drzwi się otwarły i wpadła Helena, blada, z rozrzuconemi włosami, zbroczona krwią, zaledwie mogąc wybełkotać: Ratunku! ratunku!

Benedykt odgadł co zaszło, gdyż doktor mówiący z nim otwarciej niż z Heleną, nie taił mu swych obaw, które, niestety! musiały się urzeczywistnić. Wpadł natychmiast do pokoju Karola; związanie arteryi zerwało się, krew płynęła strumieniem.

Karol zemdlał.

Benedykt nie tracąc chwili czau, skręcił w sznurek chustkę on nosa, ścisnął w nią w górze ramię Karola, oderwał kawałek swojej laseczki, leżącej w pobliżu, podsunął go pod związaną chustkę i kilka razy zakręcił do koła. Krwotok zatrzymał się natychmiast.

Helena jak bezprzytomna padła na kolana przy łóżku; nie słyszała wołania Benedykta:

— Doktora! doktora!

Benedykt, jedną ręką przytrzymywał opatrunek, drugą pochwycił dzwonek i zadzwonił tak gwałtownie, iż Hans zrozumiawszy, że stało się coś nadzwyczajnego, przybiegł przerażony.

— Wsiadaj do powozu i przywieź doktora! zawołał Benedykt.

Zrozumiawszy niebezpieczeństwo, Hans jednym tchem zbiegł ze schodów i wskoczył do powozu, wołając:

— Do doktora!

Była zaledwie szósta rano, zastał więc doktora, który w kilka minut ubrał się i wszedł do pokoju rannego.

Zobaczywszy krew na posadzce, Helenę zemdloną i Benedykta ściskającego ramię rannego, zrozumiał odrazu, że stało się czego się zawsze obawiał.

— Ach! zawołał, tegom się lękał i przewidywał; krwotok skutkiem pęknięcia błonki!...

Usłyszawszy głos doktora, Helena oprzytomniała; padła przed nim na kolana, wołając z załamanemi rękami:

— On nie umrze!... on nie umrze!... pan go uratujesz!

Doktor podniósł ją i zbliżył się do łoża rannego.

Karol nie utracił tyle krwi co pierwszym razem ale sądząc z rozlanej na posadzce wypłynęło przynajmniej dwa funty, a było to nadzwyczaj wiele w stanie tak ogromnego osłabienia. Jednakże nie tracąc odwagi, doktor zrobił nowe przecięcie i szczypczykami pochwycił arteryę, która, dzięki ściśnieniu ręki przez Benedykta, tylko o kilka centimetrów się odsunęła.

Związanie nie zajęło więcej jak sekundę, ale Karol nie odzyskiwał przytomności. Na pierwszą operacyą Helena patrzyła z obawą i niepokojem; na tę z trwogą i niewysłowionem przerażeniem. Pierwszym razem znalazła Karola niemego, nieruchomego, prawie zesztywniałego, ale nie widziała go jak teraz, przechodzącego z życia do śmierci. Miał teraz usta zbielałe, oczy zamknięte, policzki posiniałe: widocznie wtedy nie był tak blizkim grobu jak obecnie.

Helena rozpaczliwie załamała ręce.

— Ach! czyż nie zazna tej pociechy, aby życzenie jego zostało spełnione! wołała: Doktorze, czy on nie otworzy już oczu? czy nie będzie mógł przemówić przed śmiercią?... O Boże! mój Boże! nie błagam już o jego życie, bo na to cudu Twej łaski by trzeba — ale niech tylko otworzy oczy!... niech przemówi do mnie!... niech odzyska przytomność, aby kapłan mógł połączyć nas nierozerwalnemi ślubami, abyśmy i w niebie byli razem!

Pomimo obycia z cierpieniami i rozpaczą, doktor nie mógł patrzéć obojętnie na tak bezmierną boleść; więc choć wiedział że tym razem żadnej już nie ma nadziei, że medycyna nie przedstawia żadnego środka ratunku, starał się jednak uspokoić Helenę temi ogólnikowemi frazesami, jakiemi posługują się doktorzy w podobnych wypadkach.

Benedykt odprowadził go na bok.

— Doktorze, rzekł, słyszysz o co cię błaga ta anielska istota; nie żąda abyś uzdrowił jej narzeczonego, pragnie tylko, abyś chwilowe wlał w niego życie, tyle aby kapłan mógł złączyć ich dłonie i odebrać przysięgi.

— O! tak!... tak!... zawołała Helena, tego tylko żądam... Ach! szaloną byłam, że gdy przytomny zupełnie objawił mi najgorętsze swe życzenie, natychmiast nie uczyniłam mu zadość, i nie przyzwałam kapłana, aby nas połączył... Doktorze, błagam cię, zaklinam na wszystko co masz najświętszego, niech aby na chwilę otworzy oczy, niech tylko zdoła wymówić: „tak”—oto wszystko czego żądam, bo wtedy życzenie jego zostanie spełnione i ja będę mogła dotrzymać ślubu jaki uczyniłam sobie!...

— Doktorze, rzekł półgłosem Benedykt, ujmując dłoń doktora, czyby nie można sprobować transmisyi krwi?

— Co to jest? zapytała Helena.

Doktor pomyślał chwilę, poczem patrząc na chorego, rzekł:

— Jak w tym razie, nic nie ryzykujemy.

— Powiedzcie mi co to jest transfuzya krwi? zapytała powtórnie Helena.

— Jest to przelanie w żyły chorego tyle krwi ciepłej i żywotnej, aby mógł, choćby na krótko odzyskać świadomość siebie, przytomność i mowę, odrzekł doktor. Sam nie dokonywałem jeszcze tej operacyi, ale kilka razy byłem świadkiem w szpitalach.

— I ja także chodząc na kursa uczonego Magendie, byłem obecny przy doświadczeniach, pomyślnych zawsze ilekroć w żyły jakiegoś zwierzęcia zastrzyknięto krew innego tegoż rodzaju.

— A mogę sprobować, czy nie znajdę kogoś, któryby zgodził się sprzedać parę funtów krwi.

— Doktorze, zawołał Benedykt zrucając tużurek, nie szukaj, ja nie żałuję krwi mojej dla moich przyjaciół.

Ale Helena rzuciła się z krzykiem między niego a doktora, wołając:

— Dość już uczyniłeś pan dla Karola; jeźli krew ludzka ma przejść w żyły mego narzeczonego, ja jedna mam do tego prawo i nie dam go sobie wydrzeć.

Benedykt ukląknąwszy przed tą bohaterką miłości i poświęcenia, pocałował skraj jej szaty.

Mniej wrażliwy, doktor rzekł tylko:

— Niech i tak będzie, sprobujemy. Dajcie rannemu łyżkę kropli wzmacniających; ja pojadę do domu po instrumenta i wrócę natychmiast.

(D. c. n.)

Międzynarodowa wystawa elektryczności
W PARYŻU.

(Dokończenie.)

Werner Siemens z Berlina zastosował tenże sposób przenoszenia siły do wielkiej windy i do kolei żelaznej. Winda funkcyonuje w pałacu na Polach Elizejskich. Kolej żelazna ukazała się po raz pierwszy na wystawach w Brukselli i w Düsseldorfie; następnie zbudowano w Berlinie pierwszą linię trzy-kilometrową, wychodzącą z dworca kolei z Anhalt do Lichterfelde, a niedawno zastosowano ten system na linii tramwayowej z Charlotenburga do Spandaner-Bock. Powóz mogący pomieścić 20 osób, przebiegał najmniej 20 kilometrów na godzinę. Model jego wystawiony jest w oddziale niemieckim. Tramwaye elektryczne przedstawione na wystawie, mogą z łatwością przebyć 35 kilometrów na godzinę.

Wystawa przekonywa stanowczo, że możemy dowolnie wytwarzać elektryczność w nieograniczonej ilości i stosunkowo niewielkim kosztem, jakoteż, iż za pomocą tak wytworzonej elektryczności możemy przenosić i rozdzielać siłę ruchu na najdrobniejsze cząstki, wprowadzać ją wszędzie, do fabryk, do domów prywatnych i rozprowadzać po wszystkich dzielnicach wielkich miast. To co dziś już widzimy dobrze wróży o przyszłości.

Pod względem praktycznym najwięcej na wystawie zwracają uwagę różne sposoby oświetlania elektrycznego. Całe szeregi wynalazców dobijają się o przyznanie im pierwszeństwa. Wiadomo, że obecnie zastosowano powszechnie dwa sposoby do otrzymania oświetlenia elektrycznego. Albo rozpala się do niezrównanej jasności końce węgli oddalonych nieco od siebie, między któremi powstaje tak zwany *łuk woltaiczny*, albo też rozgrzewa się do wielkiej jasności jakiekolwiek trudno topliwe ciało, w którem nie ma żadnej przerwy i prąd nie potrzebuje nigdzie przeskakiwać przez powietrze. Ta ostatnia metoda, którą nazwano oświetleniem przez *inkandescencyą* czyli *rozżarzenie* wielkiego w ostatnich latach nabrała rozgłosu. Edison, Swan i Maxim rozgłosili ją po całym świecie, wskutku czego powszechne na wystawie budzi zajęcie. Łatwo jest bardzo rozpoznać lampy oświetlające przez rozżarzenie, gdyż są one bardzo miłe dla oka i wyróżniają się żółtem podobnem do gazu zabarwieniem, kiedy wszystkie inne świecą jaskrawo, i z nader małemi wyjątkami, światło ich ma pewien odcień fioletowy, rażący i niemiły dla wzroku.

Chcąc objaśnić działanie tych lamp, przypomnijmy sobie niektóre najelementarniejsze doświadczenia fizyczne. Weźmy cienki kawałek byle jakiego, a najlepiej platynowego drutu, i zacznijmy przepuszczać prąd przez niego, a jeźli siła prądu tego będzie dostateczna, drut się rozżarzy i zacznie silne wydawać światło. Lecz drut pęknie prędko, chcąc więc, aby doświadczenie trwało dłużej, trzeba nałożyć nowy. Zamiast drutu platynowego, można użyć drutu zrobionego z węgla, lecz i w tym razie doświadczenie potrwa krótko, gdyż węgiel łączy się z tlenem powietrza, wydaje kwas węglowy i wkrótce z niego zostaje tylko popiół. Lecz jeźli ten cienki kawałek węgla umieścimy wewnątrz bani szklanej, z której poprzednio powietrze zostało zupełnie wypompowane, nie ma już wtedy materyałów do spalenia, a więc nie mając się z czem łączyć, węgiel nie może wchodzić w żadne połączenie chemiczne. Oto zasada wszystkich prawie lamp świecących przez rozżarzenie.

Takich lampek Edisona kilkaset pali się na wystawie. Wewnątrz małej szklanej bańki, z której powietrze tak zostało wypompowane, że ciśnienie nie przenosi jednej milionowej części atmosfery, znajduje się zgięty w podkowę drucik węglowy, i ten rozżarzony do wysokiej temperatury, wydaje to zadziwiające światło. W salach Edisona można widzieć cały przebieg fabrykacyi takich małych lampek, które według zapewnień jego, tylko jednego franka kosztować mają.

Głównem zadaniem jest dobre przygotowanie druciku węglowego, żeby nie pękał przy wysokiej temperaturze, niezbędnej do rozżarzenia go do białości. Otóż największą zasługą Edisona jest obmyślenie takiego preparowania drutów metalowych i węglowych, że bardzo długo opierają się niszczącemu działaniu wysokiej temperatury. Węglane druciki jego wyglądają jakby wyrobione z metalu; są twarde, sprężyste i dźwięczne przy uderzaniu.

Lampki jego rzeczywiście wspaniałe wydają światło, nie rażące oczu. Na oświetlenie jednej z sal swojej wystawy, używa Edison około 200 lampek. Światło jest spokojne i nic nie drgające, tylko zbyt żółtawe, do tego stopnia, że światło gazowe wydaje się przy niem nieco czerwone. Światło jego lamp doskonale nadaje się do pisania i czytania, a prócz tego ma jeszcze tę wielką zaletę, że w jednym obwodzie elektrycznym można

je rozmieszczać dowolnie. Łatwo jest bardzo dzielić światło na słabe pojedyńcze ogniska. Na wystawie z jednego ogniska płonie około 400 lamp, a Edison obiecuje zapalić ich tysiąc, aby wykazać możliwość zastosowania swej metody na wielką skalę, w celu oświetlenia miast i domów.

Współzawodnikami Edisona są pp. Swan i Maxim; tylko inny nieco drucik stanowi różnicę między jego a ich lampami. Swan cieszy się dobrem powodzeniem, gdyż lampki jego funkcyonują doskonale; Maxim mniej jest szczęśliwy, gdyż z powodu zepsucia konduktorów musiał nawet przerwać czasowo palenie swoich lamp.

Oświetlenie lampami elektrycznemi jest piękne i dobre, tylko że dotąd nie jest dowiedzionem czy nie będzie kosztowniejsze od gazu. Jeźli zdołają wykazać, iż nie więcej potrzeba będzie spalić węgla w maszynie parowej, niż go się spali do wytwarzania gazu i rozesłania przez rury po mieście, to nawet gdyby oświetlenie elektryczne nie mniej kosztowało niż gazowe, jak to obiecuje dowieść Edison, bezspornie należałoby mu się pierwszeństwo.

Za parę miesięcy komitet sędziów wystawy ma wydać stanowczy wyrok, na który tak strony interesowane jak publiczność z wielką oczekują niecierpliwością.

J. B.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Dzieje Polski w zarysie, przez Michała Bobrzyńskiego Warszawa 1879 roku.

(Dokończenie.)

Oto np. już na pierwszej stronicy p. Bobrzyński wypowiada dziwne zdanie, jakoby „celem dziejopisarstwa jest podział na okresy". Następnie dzieli dawniejszych naszych historyków na jakieś szkoły czyli sekty, nigdy nie istniejące i o których nikt nigdy nie słyszał; wyraża się przytem lekceważąco o pracach swych poprzedników tak, że ze słów autora w przedmowie i przy końcu, chociaż niekiedy przybranych w szatę pozornej skromności, widoczną jest myśl, że dopiero p. Bobrzyński zrozumiał pierwszy słowa dziejów polskich i wytknął nowy kierunek dziejopisarstwa. Własny podział dziejów u autora nowy i choć niby opiera się na rozwoju instytucyi państwowych, w znacznej części dowolny. Głównych okresów — jest to szczyt oryginalności i owoc czyli ostateczny cel, jak powiada autor, jego historyozofii — mamy u pana B. trzy: pierwszy od X do XIII wieku — państwo polskie pierwotne, patryarchalne; drugi — od połowy XIII do końca XV wieku — państwo średniowieczne, patrymonialne; trzeci — od końca XV do końca XVIII wieku — państwo nowożytne, prawne. Trudno powiedzieć, żeby ten podział był popularnym i zrozumiałym, a podwójne nazwy mówią mało i odznaczają się jakąś scholastycznością; w każdym razie te nazwy wymagają obszernych objaśnień, które nawet gdyby były zupełnie słusznemi, nie nadałyby pozorów podziału dziejowego podziałowi historyi rozwoju państwa polskiego. Daleko już lepszym, nawet pod tym względem i z odcieniem również państwowym, jest dawny podział na czasy monarchii, arystokracyi i demokracyi szlacheckiej. Owe trzy główne okresy rozpadają się jeszcze u autora na mnóstwo podrzędnych, których tu wyliczać nie będą, wspomnę tylko, że i ten podział został obrany z widoczną starannością w tym kierunku, żeby nie był podobnym do żadnego z dawnych podziałów. Tak np. i rok śmierci Mieczysława Starego (1201) i objęcie kierunku polityki polskiej przez Zbigniewa Oleśnickiego (1423) i rok 1608 (czemu już nie 1605 — początek rokoszu Zebrzydowskiego?) i pierwszy najazd szwedzki 1655 i rok 1717 (konfederacya Tarnogrodzka) — wszystko to daty rozpoczynające nowe okresy — dlatego przeważnie, jak mniemam, że nikt jeszcze dotychczas owych wypadków dziejowych za początki nowych okresów nie uważał. Napad Mongołów rozpoczyna u autora nawet epokę (drugą) zapewne dlatego, że dotąd tylko w historyi Rusi ten wypodek miał znaczenie epoki. Wpływ cywilizacyi łacińskiej i kościoła katolickiego na Słowian zachodnich, uważa autor za szkodliwy, zachwycając się losem tych Słowian, którzy ulegli wpływom greckim. O Wacławie czeskim, którego zaledwie wspominają nasze dzieje, pan B. mówi z największem uwielbieniem i kilkoletnim jego rządom przypisuje wpływ przeważny na całe późniejsze dzieje Polski! Jana Olbrachta wynosi, potępia zato Zygmunta I, którego mądrość, łagodność i umiarkowanie wszyscy dotych czas uznawali. Pociąg do nowości i chętka kontrowania doprowadza pana B. nawet do przyganiania złotemu wiekowi piśmiennictwa polskiego za Zygmunta! Unią lubelską wszyscy dotychczas oceniali z uznaniem — więc p. Bobrzyński i ją także gani, rozpisując się o szkodliwości tego wypadku. Potępia również Władysława IV, a ubolewa, że tronu polskiego nie dostąpili kandydaci mało znani, jak Jerzy ks. pruski, lub tacy, których niemożliwość pojmowali już spółcześni jak np. Iwan Groźny i syn jego Fedor.

Na tem już zakończymy nasze sprawozdanie o książce pana Bobrzyńskiego. Nie przytaczamy więcej próbek poglądów i nowatorstwa autora, nie wymieniamy licznych w jego dziele błędów faktycznych i wykroczeń językowych i stylowych, gdyż uczynili to inni, a poczęści i piszący te słowa na innem miejscu. Zestawiszy nasze przytoczenia z początkowemi uwagami i całą oceną dzieła, czytelnicy, jak mniemam, zgodzą się ze mną, że w gruncie rzeczy nowego ta książka przedstawia mało, a to co ma nowego — niewiele warte. Nie będąc opowiadaniem dziejów, ale tylko oceną ważniejszych faktów dziejowych, przeładowane suchą erudycyą prawniczą, uderzające tu i owdzie jednostronnością, a nawet zaślepionem uniesieniem, nie odznaczając się nakoniec popularnością wykładu i prostotą stylu, dzieło p. Bobrzyńskiego bynajmniej nie może być uważanem za podręcznik do nauki historyi polskiej.

Mniemam nawet że i sam autor nie miał tego celu: owszem z niektórych ustępów książki jest widocznem, iż p. Bobrzyński przeznacza swą pracę nietyle nawet dla ogółu publiczności, miłującej własne dzieje, ile dla historyków i uczonych badaczów.

Uważam sobie za obowiązek sprostować pod tym względem to błędne przekonanie pewnej liczby rodziców, którzy podobno kupują książkę pana Bobrzyńskiego, jako podręcznik do nauki dzieci i to, jak się zdaje, jedynie może nam wytłomaczyć chwilową popularność tego dzieła wydrukowanego już podobno w drugiej edycyi. Wiele tu znaczy zapewne moda i pociąg do nowości: przez cały rok wszyscy mówili i pisali o Bobrzyńskim, a rodzice częstokroć kupują dla dzieci „najnowszą" historyą polską, bez zasiągnięcia wprzód wiadomości, czy ta nowość jest przydatną dla młodocianych umysłów. Powyższy nasz rozbiór dostatecznie wykazuje, że nie jest to bynajmniej książka do nauki i że jej jednostronność i niektóre spaczone poglądy wywarłyby bardzo szkodliwy wpływ na dziatwę.

L. S. W.

Pogląd na dzieje Słowian zachodnio-północnych. Gniezno 1881 r.

Znany badacz historyczny Dr. Sieniawski, dał polskiej publiczności dzieło wysokiej wartości, na które od dłuższego czasu wszyscy interesujący się dziejami Słowian oczekiwali. Autor na podstawie starannie zebranych źródeł i opracowań, kreśli dzieje Słowian zachodnich od czasów najdawniejszych aż do utraty ich niepodległości w walce z Niemcami r. 1224. Wychodząc z zasady niebardzo uzasadnionej a tem samem chwiejnej, że Słowianie są pramieszkańcami Europy i że niektóre ludy keltyckie są właściwie słowiańskiemi, przystępuje autor do kreślenia mrocznych dziejów Słowiańszczyzny posiłkując się wzmiankami rzymskich i greckich autorów, jako źródeł pisanych, a archeologią, etnologią i kraniologią jako naukami pomocniczemi. Zdaniem D-ra Sieniawskiego siedliska Słowian sięgały daleko na Zachód, bo aż po za Ren do Alzacyi i Lotaryngii; następnie opisuje autor geograficzne i etnograficzne położenie tej części Słowiańszczyzny. Spotykamy tu ludy: Serabów, Obotrytów, Weletabów, Lutyków, Rugian i Pomorzan. Polityczne dzieje tych ludów, poczawszy od pierwszego starcia z Frankami r. 531 aż do r. 1224, stanowią pierwszą część dzieła D-ra Sieniawskiego. Dzieje te są nieprzerwanym łańcuchem namiętnych walk i usiłowań Słowian, by obronić swą ziemię i wiarę przed orężem i apostołką Niemców. Z jednej strony bohaterskie a nieszczęśliwe wojny, z drugiej mordy, pożogi i nieprzebieranie w środkach ze strony Niemców, byle tylko zagarnąć ziemię, byle dalej na wschód posunąć swe granice. Słowianie upadają z braku jedności w działaniu, z braku poczucia łączności pomiędzy ludami, tak, że często po wrogiej Słowianom stronie niemieckiej spotykamy ludy słowiańskie prowadzące bratobójczą walkę i kujące nieopatrznie dla siebie więzy.

Spotykamy między Słowianami książąt godnych zaiste bohaterskiej pieśni, tacy jak Miliduch, książę sorabski, który ginie r. 806 w walce o wolność; taki Trasko obotrycki, taki Nikbot, Warcisław, Przybysław i wielu innych, postacie godne stanąć obok pierwszych bohaterów dziejów europejskich.

Bitwy bywały krwawe i straszne, dość wspomnieć, że pod Lunkini (Lentzen) w r. 930, według relacyi kronikarzy, miało paść na polu bitwy 120,000 do 200,000 Słowian, a 800 wziętych do niewoli, kazał cesarz Henryk I sciąć na drugi dzień bez litości.

Nie pomogło Słowianom przyjęcie religii chrześciańskiej; nienawiść plemienna była silniejszą od węzłów religijnych. Pozbawieni wszelkich praw osobistych i rzeczowych, zamienieni na niewolników zwolna ale statecznie zatracali poczucie odrębności słowiańskiej i dziś ziemie niegdyś słowiańskie są bujnym zasiewem i źródłem germanizmu. W tej walce wewnętrznej pierwsi germanizowali się księża i wogóle duchowieństwo zespolone silnemi węzły z kościołem niemieckim, następnie poddała się niemieczczyznie szlachta i magnaterya, aż wreszcie lud pozbawiony inteligencyi, zespolił się po długich wiekach biernego oporu ze swymi ciemiężycielami.

Mimo tego, wśród tego morza germańskiego spo-

tykamy odosobnione włości słowiańskie zwane „Wendische Dörfer", które zepsutą i zakażoną germanizmami mową słowiańską świadczą dowodnie o olbrzymiej sile narodowej, tkwiącej w ludzie wiejskim.

Druga część dzieła D-ra Sieniawskiego traktuje o cywilizacyi Słowian wogóle, następnie mówi o ustroju państwowym, społecznym i religijnym. Nie możemy przemilczeć, że ta część pracy D-ra Sieniawskiego, aczkolwiek traktowana szkicowo, zawiera wiele nader cennych wskazówek i jest pierwszą pracą, która stara się przedstawić w całokształcie dzieje cywilizacyi słowiańskiej z tej epoki.

Naturalnie jest tu wiele usterek, niedokładności, jest wiele światła stronniczego, ale jako pierwsza w tym rodzaju praca jest wybornym drogowskazem dla przyszłego historyka.

I historyozoficzne stanowisko autora nie jest bez zarzutu. Dr Sieniawski patrzy przez szkła zbytniej niechęci ku Niemcom, a nieograniczonej miłości ku Słowianom, większa objektywność byłaby dla historyka pożądaną; następnie na tak oddalone epoki patrzy autor ze stanowiska idei XIX wieku co jest mylnem i prowadzi do fałszywych wniosków o państwowym i społecznym bycie Słowian. Wreszcie styl i język są zbyt zaniedbane, germanizmów bardzo znaczna liczba, rozwlekłość i deklamacyjność nie nadają się do dzieła historycznego, które jędrnym językiem wywołuje największe wrażenie a jasnością wykładu wdraża się w pamięć.

Jakiekolwiek zresztą zarzuty możnaby stawiać Dr. Sieniawskiemu, w każdym razie zasługa jego jest bardzo wielka a samo dzieło wydane nakładem autora, zasługuje na poparcie czytającej a inteligentnej publiczności.

A. G.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Listopada 1881 roku.

W ostatniej korespondencyi naszej wspomnieliśmy o sukniach nabytych na model, a przeznaczonych na wyprawę dla panien G., dajemy dziś szczegółowy ich opis.

Suknia z atłasu ciemno zielonego w odcieniu myrtowym, u dołu spódniczki dwie większe falbanki plisowane, nad tem przód nagarnirowany trzema bufami, w górze przemarszczanemi. Od boków do tyłu przerzucona draperya (*en panier*) z pluszu w tymże samym kolorze. Z tyłu spódnicy jeden wielki plisowany wolant. Stanik z atłasu, z przodu tworzy długi bawet, zakończony węzłem atłasowym; z tyłu puf spada na spódniczkę, przepięty wielką kokardą z pluszu i atłasu. Kołnierz do tego pluszowy, obszyty sznurem, u szyi spięty na węzeł z takiegoż sznura, z pod kołnierzyka, nagarnirowana w górę walansiena w nowym rodzaju. Rękawy obcisłe, zdobne pluszem i sznurem, podgarnirowane koronką, nie dosięgają ręki.

Do tego wizytowego kostiumu dodany manszonik pluszowy, ozdobiony puklami ze sznura i wielkim motylem ze wstążki atłasowej. Dopełnia ubrania śliczny toczek kastorowy, w kolorze myrtowym, z pękiem piór w różnych odcieniach tejże barwy, nakrapianych w centki *viel or*.

Drugi kostium czarny atłasowy przybrany aksamitem. Spódniczka krótka zakończona dwoma wązkiemi falbankami: nad temi szersza falbana, układana w plisy, dawane po sześć koło siebie, w odstępach. Z lewego boku słup z atłasu plisowanego, idzie od stanika do ziemi.

Wierzchnia spódniczka cała w zakłady poprzeczne, objęta na ćwierć łokcia aksamitem; objęcie to odwraca się do góry z obu stron i łączy z lewego boku rzędem pletni przechodzących w odstępach przez słup atłasowy. Stanik ma przody gładkie otwarte — z pod spodu wychodzi aksamitna kamizelka z bawetem. Tył stanika rozcięty; pod tem rozcięciem dana klapa aksamitna, przez którą idą dwie pletnie. Poniżej klapy spada puf atłasowy. Rękawy ubrane aksamitem i pletnią, przechodzą zaledwie przez łokieć.

Trzecia suknia z kaszmiru indyjskiego w kolorze cedrowym. Spodniczka zakończona u dołu dwoma plisownnemi falbaneczkami. Nad tem idzie szeroki wolant naszyty wstążką morową w jaśniejsze odcienie. Wolant ten od dołu, wycięty w wielkie zęby, powyżej zaś przemarszczony piętnaście razy. Na to spada tunika niezbyt długa, z prawego boku ujęta w fantastyczne pukle ze wstążki morowej. W tyle puf kaszmirowy, ozdobiony wielką kokardą morową. Stanik do tego z długą baskiną, ma przody gładkie spięte na rząd złotych guzików, naszyte koronką *Bruges* i pukielkami ze wstążki odpowiedniej.

Do tego kostiumu ślicznie przypada morowy fanszonik, nagarnirowany białą koronką, zawieszony u szyi na morowej wstążeczce. Odpowiada mu także kapelusik okrągły — w kolorze cedrowym, ozdobiony złotemi szpilkami i pękiem piór strusich w dwóch odcieniach.

Skromniejszy od tych, ale niemniej gustowny, kostium z indyjskiego kaszmiru, w kolorze wydrowym (*loutre*). U dołu falbanka atłasowa plisowana, nad nią szeroki wolant kaszmirowy, układany w fałdy, w górze zaś przemarszczony ośm razy. Nad tem idzie znów bufa suto odstająca i znów przemarszczana w górze. Stanik z kaszmiru, spięty na dwa rzędy złotych guzików, ma formę obcisłej żakietki. W tyle spada na puf wielka kokarda ze wstążki atłasowej. Rękawy obcisłe, spięte do łokcia na guziki. Kołnierz do tego wielki marynarski płócienny, obszyty płasko gipiurą—mankiety odpowiednie.

Moda krótkich rękawów, pokrywających ledwie łokieć, utrzymuje się pomimo bliskiej zimy. Aby zabezpieczyć ręce od chłodu, wymyślono dwa środki: naprzód rękawiczki długie, zachodzące do łokcia na rękaw, przytwierdzone bransoletkami, powtóre mufki zastosowane do kostiumu, przybrane fantastycznie koronką, pluszem, puklami ze wstążki, a niekiedy bukietem atłasowych kwiatów.

Okrywki przybrane pluszem ciągłej używają wziętości; tem jedynie różnią się od zeszłorocznych, że spostrzegamy nowe całkiem rodzaje pluszu. W wielkich magazynach tutejszych widzieliśmy plusz ciemno brunatny, z długim nabitym włosem, wybornie naśladujący futro wydry. Robią z niego całe okrywki, częściej jednak używają go tylko do obłożenia, a to z powodu bardzo wysokiej ceny. Suknie i kostiumy ubierają pluszem szkockim w kratę, lub węgierskim, wyciskanym w deseń morowy. Na suknie służy plusz gładki z krótkim włosem, mało różniący się od aksamitu, lub wytłaczany w drobny deseń. Używany też do kostiumów i okrywek plusz bardzo nabity, zwany *à sillon*, czyli w bruzdy. Chusteczki rozmaitej wielkości i krawatki pluszowe, w kolorach ciemno pąsowym, pawim, *viel or*, lub śmietankowym, powszechnie dziś przyjęte.

Blądyna hiszpańska ciągłej używa wziętości. Biała naszywana sieczką białą lub kolorową, służy za garnirunek do strojnych sukien; czarna zdobi kostiumy i wizytki, tak jedwabne jak kaszmirowe. Widzieliśmy nowego rodzaju mantyle hiszpańskie, dosyć wązkie ale z bardzo długiemi końcami. Mantyla taka włożona na kostium, ma formę wielkiego kołnierza, końce jej łączą się z przodu, przytwierdzone w stanie kokardą ze wstążki czarnej atłasowej; ztąd rozchodzą się na dwie strony, tworząc na bokach draperyą; w tyle łączą się znowu pękiem pukli atłasowych i spadają z nimi razem na suknią.

Na poranki koncertowe lub do teatru, przyjęto wizytki z kaszmiru indyjskiego w żywych kolorach. Używają na to wielkich kwadratowych chustek,—wprawdzie trzeba je pociąć odpowiednio do formy, ale cena tych chustek dosyć jest tu dostępna, można ich dostać za 60 lub 70 franków. Taka wizytka nie potrzebuje żadnej ozdoby, podszyta bywa atłasem lub marseliną w żywym kolorze.

Musimy tu jeszcze zapisać dosyć eksentryczną modę, która się w tym roku pojawiła. Są to kostiumy z wigoniu w dzikich kolorach: wydrowym, cedrowym, chmielowym lub piaskowym. Wigoń ten zachaftowany cały w rzucik: na jednym widzimy czarne główki murzynów z błyszczącemi oczyma, na drugich główki dzików, koni, psów, kotów, sfinksów i t. p.

Zwierzęta, ptaki, owady i płazy współzawodniczą dziś z piórami i kwiatami w ubiorze modnych pań: na kapeluszach upinają rozmaite żyjątka, zacząwszy od pająków, od małych żółwików i żabek, do puszczyków z zakrzywionym dziobem, do papug z jaskrawemi piórami, i wiewiórek z długą, puszystą kitą. Powiedzmy jednak, że wytworne paryżanki nie hołdują niewolniczo tej modzie, ale umieją zatrzymać ją w pewnych granicach.

Woalki na zimę najmodniejsze w formie czworograniastych chustek, zaokrąglonych w jednym rogu, który przypada do twarzy. Taka woalka zasiana w rzucik, ozdobiona dokoła szlakiem, zarzuca się na cały kapelusz; trzy końce złączone w tyle, opadają z karczka na warkocz.

Uważamy po magazynach wiele sukien wełnianych z haftowanemi wolantami. Jest to haft angielski w dziurki, wykonany jedwabiem w maszynie. Te wolanty, przymarszczane po kilkanaście razy w górze, zdobią zwykle cały przód spódnicy, zarówno jak tunikę i stanik. Niekiedy haft bywa innego koloru jak tkanina, częściej jednak w tymże samym kolorze.

Wśród zimowych kapeluszy, ukazały się kapotki zwane *Anna Boleyn*. Rondko u nich małe, zagięte nieco nad czołem, nagarnirowane czarną blądyną; główka aksamitna nafałdowana w podłuż bez żadnego karczka, ujęta w aksamitny rulon. Szorokie szarfy blądynowe służą do wiązania pod brodą.

NOWE WYDAWNICTWA.

Kalendarz dla Izraelitów od stworzenia świata 5,642, rozpoczynający się dnia 24 Września r. b. a kończący się w roku przyszłym d. 29 Września.

Dodany przytem jest oddzielny kalendarzyk pugilaresowy dla chrześcian. Część literacką bardzo starannie ułożoną, rozpoczyna słowo wstępne przez panią Elizę Orzeszkową napisane. Autorka głównie w niem zwraca się do czytelników Mojżeszowego wyznania i z godnością bez najmniejszej osłony wypowiada im całą prawdę i podaje środki postępowania. Ten jeden już artykuł godzień był wydania całego kalendarza, daj Boże aby go chcieli przeczytać ci dla których właściwie jest przeznaczony.

Początkowa nauka geometryi w zadaniach przez S. Diekstejna—książeczka pierwsza. Ma ona stanowić przygotowanie do łatwiejszego zrozumienia wykładu geometryi w szkołach, ale autor pragnie, aby pomieszczone w niej zadania przez samego ucznia były rozwiązane. Czy to jest możebnem, praktyka dopiero pokaże; że jednak zadania te ułożone są jasno, wyczerpująco i niezmiernie starannie, przy pomocy więc Nauczycielki, mogą być w nauce bardzo pomyślnie spożytkowane.

Kalendarz ścienny na r. 1882, nakładem i drukiem Bronisława Kopczyńskiego, w oprawie do zawieszania na ścianie, zgrabny i niewiele miejsca zajmujący.—Cena kop. 15.

Podręcznik naukowy w językach: francuzkim, polskim, niemieckim i rossyjskim ku użytkowi młodzieży, opracowała Bronisława Leśniewska, przełożona pensyi prywatnej w Warszawie. Dziełko to śmiało polecić można w nauce języków młodego pokolenia. Mieści się w niem wszelka pomoc dla uczących, począwszy od abecadła aż do tłomaczeń, rozmowy i deklamacyi dobrze wybranych. Ostatnie dwie części są jedynie przeznaczone dla nauki języka francuzkiego. W całym układzie dziełka znać wytrawną i doświadczoną nauczycielkę, i dlatego pracę jej publiczności polecamy.

Encyklopedyi Wychowawczej wyszedł tomu II zeszyt czwarty, a całego dzieła zeszyt 12 i zawiera: Borowski p. P. Chmielowskiego; Boromeusz p. L.; Bossuet p. L.; Botanika p. A. Slósarskiego; Brodziński p. P. Chmielowskiego; Broscius p. S. Diekstejna.

Encyklopedya wychodzi w zeszytach pięcioarkuszowych, każdy zeszyt na miejscu kosztuje kop. 40, z przesyłką kop. 50. Tom pierwszy obejmujący 40 arkuszy druku, kosztuje na miejscu rs. 4, z przesyłką rs. 4 kop. 60.

Powieści historyczne J. I. Kraszewskiego, wyszła czternasta z porządku książka—p. t. „Król chłopów" czasy Kazimierza Wielkiego w czterech tomach.

Obrazki z życia i prawdy p. Zofię Rudnicką, wyszły nakładem księgarni K. Łukaszewicza we Lwowie. Obejmują w sobie cztery opowiadania: o pracy tej później złożymy obszerniejsze sprawozdanie.

Kalendarz powszechny na rok 1882, rok IV; nakładem księgarni Teodora Paprockiego i Sp. w Warszawie przy ulicy Chmielnej N. 8, wyszedł na widok publiczny.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Pisma codzienne donoszą, iż wkrótce ma być zatwierdzona ustawa dla przytułków rzemieślniczo-rolnych dla żebraków, włóczęgów i opuszczonych dzieci w Królestwie Polskiem. Przytułków takich ma być 20, po dwa w każdej gubernii. Byłaby to instytucya nader pożyteczna; tysiące dzieci, pozbawionych wszelkiej opieki, które nędza i ciemnota popycha na drogę występku, mogłyby stać się uczciwymi i pożytecznymi członkami społeczeństwa, a i kwestya opieki nad proletaryatem żebraczym dawno domaga się roztrzygnięcia. Projekt tej instytucyi ułożony przez komitet Osad rolnych, przedstawiony został właściwej władzy.

+ Wiadomo, że istnieje na Szląsku „Towarzystwo pomocy naukowej Księztwa Cieszyńskiego", którego zadaniem jest krzewienie oświaty wśród biednego ludu i rozbudzanie wśród młodych poczucia swej narodowości. Oto co pisze o niem w przedostatnim numerze „Zwiastun Ewangeliczny":

„Obudzona od lat kilku ofiarność naszego społeczeństwa, zaradziła już niejednej biedzie ogólnej, rzuciła podwaliny do kilku instytucyi i przypomniała wielu, że obowiązki nasze nie kończą się u ścian naszego domóstwa, że obok osobistych spraw naszych są sprawy i potrzeby daleko większego znaczenia, odnoszące się do całego społeczeństwa. W kraju, gdzie jak u nas tak wiele jest do robienia i przerabiania, zapomina się niekiedy o rzeczach i sprawach pierwszorzędnego znaczenia, o potrzebach naglących, ważnością swą górujących nad innemi. A możeż być sprawa bardziej nagląca, jak podanie ręki dźwigającym się braciom naszym na Szląsku? „Towarzystwo naukowej pomocy dla Księztwa Cieszyńskiego", którego celem wspomaganie uczącej się młodzieży, kończy 9 rok swego istnienia, a dotąd dla braku środków, nie mogło rozwinąć się należycie. Przed kilku laty „Niwa" przypomniała, że w obrębie państwa Austryackiego istnieje kraik noszący miano Księztwa Cieszyńskiego, gdzie mieszka lud polski, wyznania katolickiego i ewangelickiego, po upływie tylu wieków dążący własnemi maluczkiemi środkami do swojskiej wiedzy i rozszerzania świadomości narodowej wśród młodych pokoleń. Głos „Niwy" nie przebrzmiał na razie; ci i owi pospieszyli z jakąś ofiarą na rzecz „Towarz. pomocy naukowej dla Księztwa Cieszyńskiego", lecz trwało to zbyt krótko... zapomnieliśmy o braciach naszych mieszkających u źródeł Wisły, i o ich Tow. naukowej pomocy które spoczywa jedynie na barkach małej garstki wieśniaków z Księz. Cieszyńskiego. My, zasobniejsi wiedzą i groszem, nie spieszymy ku nim z pomocą. Nie zła wola zapewne jest przyczyną tej pozornej obojętności, nie brak środków, bo niekiedy ofiarność nasza umie być wielką, rozciągamy ramiona naszej braterskiej miłości bardzo dalecko, darzymy braci Łużyczan z nad Łaby, ale niewiadomość jedynie powoduje ów nasz grzech społeczny.—Dla chcących bezpośrednio nieść pomoc swą Towarz. pomocy naukowej Księztwa Cieszyńskiego, podajemy adres: Paul Stelmach, in Teschen, K. K. Schlesien, Polnische Strasse, Corgosch Haus."

+ Dnia 19 z. m., jako w rocznicę bohaterskiej śmierci ks. Józefa Poniatowskiego, w Krakowie, w kaplicy św. Leonarda, w grobach na Wawelu, odprawiono Mszę żałobną za jego duszę. Sarkofag księcia był podczas Mszy św. obstawiony świecami. Następnie w katedrze, przy grobie św. Stanisława, ks. kanonik Polkowski odprawił nabożeństwo żałobne, po którem odśpiewano *Salve Regina* i inne pieśni żałobne. Kościół był zapełniony.

Na Skałce, w grobie zasłużonych w Krakowie, gdzie nieopodal Długosza spoczywają: Wincenty Pol i Lucyan Siemieński, nad zwłokami ich mają być wzniesione sarkofagi.

+ Od niejakiego czasu piśmiennictwo coraz liczniejszych znajduje przedstawicieli wśród panujących i ich rodzin.

Napoleon III wydał kilka dzieł poważnej ekonomicznej treści, a ostatnią pracą jego historyczną, ukończoną na kilka lat przed Sedanem, jeszcze w całej pełni potęgi i chwały autora, było „La vie de César", pomimo zjadliwej krytyki opozycyi, odznacza się ono sumiennem obrobieniem i wiernością dziejową. Z żyjących dziś monarchów i książąt: Oskar król szwedzki jest poetą i dramaturgiem; Fryderyk ks. pruski napisał kilka już dramatów; królowa Wiktorya ogłosiła drukiem Życie ks. Alberta i pisze pamiętniki; cesarzowa Eugenia pisze pamiętnik swój a raczej dzieje panowania jej męża; królowa grecka pisuje artykuły do dzienników; królowa rumuńska pisze komedye i zręczne powiastki; król portugalski ogłasza drukiem swoje przekłady Szekspira, a ostatniemi czasy do tego pocztu dostojnych i ukoronowanych literatów i autorów, zalicza się arcyksiążę Rudolf, następca tronu austryackiego.

Napisał on książkę p. t. „Ze Wschodu", obejmującą wrażenia z ostatniej jego podróży, odbytej przed rokiem do Egiptu, Arabii i Palestyny. Styl piękny, obrazowanie żywe i barwne, obok głębszych spostrzeżeń i poglądów, dowodzących że rozpatrywał się z zajęciem w nieznanych mu krajach i obyczajach. I te kraje tak różne od naszych, żywe wywarły wrażenie na młodzieńczą jego wyobraźnię, a po nich Europa wydała mu się nader prozaiczną. Wracając do Europy temi słowi żegna uroczy Wschód.

„Ostatniem spojrzeniem pożegnaliśmy piękne morze. Noc przeszła prędko. Śniliśmy o Beduinach harcujących na arabskich ogierach, o wysmukłych minaretach, wyniosłych górach, bezgranicznych pustyniach, o świętym Nilu, szumiących palmach i pełnych tajemnic świątyniach bogini Izys. Ale sroga rzeczywistość rozwiała niebawem urocze marzenia nasze; zbudziwszy się na Semeringu, zostaliśmy powitani śnieżną zawieją, lodem i ostrym wiatrem północnym. I Wiedeń nie lepiej się przedstawił. Czarne chmury pokrywały niebo; mroźne powietrze przykro dawało się uczuć przyzwyczajonym do południowego słońca. Skończyła się nasza wycieczka—rozeszli się towarzysze podróży, a myśl ulatywała mimowolnie ku rozkosznemu Wschodowi. Żegnaj mi, ty urocza różnobarwna, słońcem oblana wschodnia kraino!"

Dzienniki francuzkie przytaczają wyjątki z albumu królowej rumuńskiej, dowodzące, iż umie ona myśląco zapatrywać się na wady, radości, smutki i cierpienia ludzkie, a jej pogląd na życie jest poważny, czasami głęboko filozoficzny. Wyjątki te dostały się do dzienników za pośrednictwem pewnego dziennikarza ukrywającego się pod pseudonimem *„Etincelle"*, któremu udało się dostać album — jakim sposobem, to jego tajemnica. Oto niektóre wyjątki.

...„Życie jest sztuką w której się nader często pozostaje dyletantem; aby zostać mistrzem, potrzeba uronić wiele krwi serdecznej...

...Siwe włosy, to piana pokrywająca morze po minionej burzy...

...Dla kobiety upadłej, kobieta uczciwa staje się źwierciadłem w którem odbijają się wszystkie jej skazy—i dlatego miotana gniewem chciałaby rozbić źwierciadło...

...Sen jest wspaniałomyślnym złodziejem; wprawdzie kradnie nam czas, ale zato wzmacnia siły...

...Gdyby można czas, który ludzie marnują rzucić jako jałmużnę tym co z niego korzystać umieją, ilużto biedaków zmieniłoby się na bogaczy...

...Obowiązek wtedy tylko marszczy brwi, gdy go się zaniedbuje, uśmiecha się zaś do tych co słuchają jego głosu...

...Świat nie przebacza nikomu ani talentu, ani powodzenia ani przyjaciół, ani nawet nieprzyjaciół — przebacza śmierć tylko — i to nie zawsze...

...Kobieta nie będąca dumną z płci swojej, jest jakby królową, niegodną korony zdobiącej jej czoło...

... Duma jest złą doradczynią, ale pewną przyjaciółką, bo zmusza nas do liczenia się z opinią...

...Życie jest zakrótkie na wszystko dobre, któreby się zdziałać chciało...

Królowa rumuńska włada biegle sześcioma językami, ale myśli i utwory swoje pisze po francuzku.

+ Piszą z Rzymu do „Gazety Warszawskiej". Dnia 22 z. m. obchodzono tu uroczyście dzień urodzin Liszta, który skończył w nim 70 lat życia. Sławny mistrz, jak zwykle tak i w tym roku przybył do Rzymu przed św. Karolem, to jest przed imieninami księżnej Karoliny z Iwanowskich Wittgenstein. Jak wiadomo, zamieszkuje on zawsze podczas pobytu w Rzymie, w willi d'Este, w Tivoli; obecnie jednak stanął w hotelu Alibert, tuż obok mieszkania księżnej. Wiadomo, iż wielki mistrz i polska jego Beatrice ślubowali sobie oddawna, iż będą pracować już tylko dla chwały Bożej—on pisząc symfonie religijne, ona dzieła teologiczne lub filozoficzne w obronie wielkich prawd religijnych i moralnych oraz zasad najczystszego idealizmu. I dotrzymują wiernie uczynionego ślubu. Liszt został honorowym kanonikiem albańskim, i echa poetycznej willi d'Este rozbrzmiewają corocznie akordami najwznioślejszych religijnych natchnień, a wielka liczba pism religijnej treści (które jednak nigdy nie bywają puszczane w obieg księgarski) zajmuje nieustannie kilkunastu pracujących w drukarni Aurelego, przy placu Borghese, który jest uprzywilejowanym wydawcą księżnej Karoliny.

W dniu tym miała także miejsce inauguracya nowego towarzystwa muzycznego *del Quintello*, które wydało wielki koncert na cześć Liszta w salonach ambasady niemieckiej. Wieczorem dany był drugi koncert urządzony przez *Societa orchestrale romana*, na którym najznakomitsi muzycy rzymscy wykonali pod kierownictwem ulubionego ucznia Liszta, Jana Sgambatti'ego, wielką jego kompozycyą religijną p. n. *Boska komedya*. Duszą wszystkich tych demonstracyi jest ambasador pruski, von Keudell, znakomity wirtuoz i zapalony wagnerzysta. Nietylko z Europy, ale nawet z Ameryki i Australii zarzucono Liszta adresami i telegramami. Zasypano literalnie wielkiego *maestro* wieńcami i bukietami; nigdy jeszcze tak olbrzymia wonna lawina nie spadała na ludzkie ramiona — ogołocono z kwiatów wszystkie wille i ogrody Rzymu, a wiadomo jak ich tam jest wiele.

+ Podczas podróży króla Kalakana po Europie, w metropolii wysp Sandwichskich w Honololu, o mało nie przyszło do strasznych zaburzeń. Liberalne ministeryum, przedstawiło parlamentowi wniosek o wyznaczenie 2,500 dolarów na zakup pantalionów dla armii. Śmiały ten wniosek wywołał w opozycyi niesłychane zdumienie, tak że aż sam prezes ministrów musiał zabrać głos w jego obronie. Niektóre jego argumenta zdawały się trafiać do przekonania centrum, ale na ławach opozycyi wywołały krzyki i gwizdania. Mówca starał się dowieść, że żadne z państw szanujących się nie poniży tak dalece, aby wypowiedzieć wojnę Hawai, jeźli żołnierze nie będą posiadać głównej części ubrania, przyjętej u wszystkich ucywilizowanych ludów. Przywódzca opozycyi odpowiedział: iż gdy w r. z. on i koledzy jego głosowali za bilem przepisującym każdemu żołnierzowi czerwoną koszulę, czynili to w przekonaniu, że będzie ona stanowić całe umundurowanie — aż tu z naszej armii narodowej chcą uczynić gwardyą Pretorów!... Wczoraj koszule, dziś pantaliony, a jutro może szelki! Słowa te wywołały pogardliwe szemrania w opozycyi, stłumione energicznemi sygnałami ministra wojny. Jeden z członków centrum zaproponował kompromis: ponieważ ministeryum wojny uznaje za konieczne, aby żołnierze mieli odzież spodnią, wnosił tedy, aby dać wojsku pantaliony a za to skasować koszule — ale minister wojny odrzucił tę ugodę w imieniu całego ministeryum. „Waleczne wojsko nasze, rzekł, ma koszule i mieć je będzie — ale musi mieć także i spodnie. Co do złośliwego wniosku odnoszącego się do szelek — zaledwie warto nań odpowiadać. Nigdy ministeryum nie poważy się proponować niepotrzebnych wydatków — każdemu wiadomo, że szelki należą do zbytków, ponieważ można zastąpić je paskiem". Członek konserwatystów wygłosił: że danie wojsku pantalionów spowoduje przewrót mogący wywołać nieprzewidziane następstwa. Naród źle zawsze wychodzi na tem jeźli zmienia dawne swe tradycye. Ojcowie nasi nie mieli spodni ani koszul, a przecież walecznymi byli żołnierzami. Dając młodej armii tak świetny uniform europejski, łatwo ją można zniewieścić i zepsuć — a przytem niewygodna ta odzież staje się prawdziwą męczarnią dla wojowników... A co więcej, przypuszczam nieszczęście, przegraną bitwę, odwrót... (syczenie) Mówca nie zważając mówi dalej. Wszystko przewidzieć należy. Xenefon dobrze się bił w odwrocie. Otóż, pytam, co w takim razie pocznie nasza armia, mając nogi spętane tą dziwaczną odzieżą? Nie mogąc uciekać zostanie w pień wyciętą". Posiedzenie odroczono i bilu nie przyjęto — wojsko hawajskie pozostaje dotąd hufcem *sankiulotów*.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 28 Октября 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 46 r. 1881.

DZIEDZICZKA.

PRZEZ

FLORENCYĘ MONTGOMERY.

Przekład

K. P.

TOM I.

(Dalszy ciąg.)

— Jednak widać niebardzo cię to obeszło; zdaje się myślałaś zupełnie o czem innem.

— Wiesz że dziś miałam o czem myśléć, odrzekła nieśmiało.

Zmarszczył brwi i rzekł nie zważając na to co powiedziała.

— Zresztą nic mi z tego nie przyszło żem ją wziął z sobą, wcale nie przyniosła mi szczęścia, rzekł przeciągając się i ziewając. Ale nie łaj jej, Estero; obiecałem jej że nie będziesz się gniewać, bo okrutnie się bała powrócić do domu. Więc niechże już gniew twój na mnie spadnie.

Estera spojrzała na niego z zadziwieniem. Nie rozumiała do czego zmierza jego mowa, gdyż wiedział dobrze iż dzieci znają jej pobłażliwość, a więc Oliwia nie mogła *bać się okrutnie* powrotu do domu.

— Co chcesz przez to powiedzieć? zapytała w przekonaniu że ma coś na myśli.

Godfred rad był widocznie że zaniepokoił żonę; zatarł wesoło ręce, mówiąc:

— Myślałem że choć raz potrafię cię rozgniewać!

Estera nie była w usposobieniu do żartów, brzmiał jej jeszcze w uszach rozpaczliwy głos syna. Oburzało ją że mąż dręczy ją niemi wtedy właśnie gdy wie jak bardzo cierpi—to też za całą odpowiedź spojrzała na niego z wyrzutem i odwróciła głowę. W tej chwili nie była w stanie rozbierać swych uczuć, to pewna że widok Godfreda przykre sprawiał na niej wrażenie.

Zaniedbany ubiór, długie rozczuchrane włosy, fajka której z ust nie wypuszczał, wszystko to nadawało mu nader triwialną minę. Jakże to rażąca zachodziła sprzeczność między nim a pięknym młodzieńcem który przed chwilą wyszedł z salonu!...

Ale Estera nie mogła zapomnieć że go kochała kiedyś, i pamięć ta była źródłem jej niewyczerpanej cierpliwości i łagodności.

Jakkolwiek obecnie zaszła w niej zmiana, był kiedyś bohaterem jej dziewiczych marzeń, a choć teraz nie odnajdywała w nim prawie ani śladu swego ideału, był przecież tym samym Godfredem który ją pokochał wtedy gdy tak bardzo potrzebowała przywiązania, i tak szlachetnie swoją otoczył opieką. Dzięki wspomnieniom tych dni szczęśliwych i przez pamięć dawnej miłości, znosiła i przebaczała wszystko.

— Nie śmiem pytać, bo wiem, że nie lubisz tego gdy jesteś w złym humorze, ale bardzo chciałabym wiedziéć gdzie jest Oliwia, zapytała łagodnie.

— Bawi się z siostrami pod pomarańczami, głupi dzieciak, nie przyniosła mi wcale szczęścia.

— Bardzo mnie to cieszy, rzekła poważnie Estera, drugi raz nie będziesz jej brał z sobą.

Rozśmiał się głośno.

— I nie pytasz mnie, rzekł, jakim pociągiem mogliśmy powrócić tak wcześnie?

— Ani wiem nawet która jest godzina. Od chwili twego odjazdu nie ruszyłam się z tego salonu, nie mam pojęcia jak dawno tu jestem.

— O czemże, u licha! myślałaś przez tyle godzin?... a nie czekając odpowiedzi dodał drwinkując: Ale nie potrzebuję pytać: jeden tylko człowiek na świecie mógł być przedmiotem twego tak niesłychanego zajęcia—twój syn, ten młodzieniec godzien uwielbienia!

— Ah! Godfredzie, zawołała oburzona, mam się z nim rozstać, i możesz że mieć mi za złe że przez te ostatnie kilka godzin myślę tylko o mojem biednem dziecku!

— Biednem dziecku! masz tobie!... to najszczęśliwszy chłopak pod słońcem. Doprawdy, pleciesz niedorzeczności, Estero! Jeźli kiedy ktoś *urodził się w czepku*, to właśnie ten, jak go nazywasz, biedny chłopiec!...

Estera wiedziała dobrze jaka to drażliwa kwestya, jednak myśl o blizkim wyjeździe syna dodała jej odwagi i postanowiła spróbować obudzić rodzicielskie uczucie w sercu męża.

— Godfredzie, rzekła, czy nie zechcesz pomówić ze mną o tym odjeździe jego? Tyle rzeczy trzebaby obmyśléć i przygotować; usiądź przy mnie i pomyśl o synu; naradzimy się, nie zajmie ci to wiele czasu.

— Dajże mi z tem pokój! zawołał wstając. Idę się przebrać i wracam zaraz przejść się z tobą, bo już dziś nie pojadę do Monte-Carlo. Oliwia popsuła mi szyki—a co się tycze potrzebnych dla Godfreda sprawunków, Harold powinien przysłać odpowiedni fundusz. Ja mam zamało dla siebie pieniędzy, abym miał kłopotać się wyprawą tego chłopaka—to jego rzecz! Ja w jego wieku sam myślałem o swoich interesach, płaciłem rachunki i wywijałem się z kłopotów jakie ściągałem na siebie.

Powiedziawszy to wyszedł przed dom gwiżdżąc, zapalił fajkę i zawołał:

— Niedźwiedziu, niedźwiadku, niedźwiadeczku, pójdźcie do mnie!

Estera pochyliła smutnie głowę pod wpływem myśli dręczącej ją już przez lat tyle. — A więc nic go zmienić nie zdoła!

Spostrzegła wkrótce że nie była samą, że ktoś stał za drzwiami. Obejrzała się i zobaczyła dziewczynkę siedzącą na ziemi i zalaną łzami.

— Oliwio! zawołała.

Dziewczynka głośniej jeszcze płakać zaczęła, ale wbiegła natychmiast do pokoju i rzuciła się w objęcia matki.

— Ah, mamo! mamo! nie gniewaj się, szepnęła łkając.

Estera przycisnęła do piersi główkę dziewczynki i rzekła łagodnie: — Przebaczam ci, moje dziecię. Wkrótce też Oliwia przestała płakać i opisała jej swą wycieczkę, i wtenczas dopiero biedna matka dowiedziała się że Godfred i Oliwia nie byli wcale w Monako.

Uspokojona tem Estera, nie starała się już odgadnąć, czy trzeba to było przypisać naleganiom dziewczynki proszącej go ciągle aby ją odprowadził do domu, czy temu że nie miał ochoty zabrać ją z sobą, czy też nakoniec że nie chciał żonie sprawić przykrości; pomyślała tylko że gdyby od razu powiedział jej prawdę, byłby ją uwolnił od przykrego niepokoju.

Westchnęła słuchając opowiadania córeczki; Oliwia miała charakter tak zbliżony do charakteru ojca, że biedna matka obawiała się zawsze o nią. Tylko dziewczynka posiadała to, czego zawsze brakowało Godfredowi: sumienie bardzo drażliwe.

Estera nie mogła się tak bardzo gniewać na Oliwię, gdyż czuła że tu ojciec głównie zawinił, pobudzając ją ze zwykłą sobie lekkomyślnością do przestąpienia zakazu matki. Kazała jej też wrócić do siostr i pomyślała z pewnym rodzajem ulgi, że teraz już nie potrzebuje troszczyć się tak bardzo o przyszłość swych dzieci; Godfred dostanie się w dobre ręce, i siostry kiedyś znajdą w nim troskliwego opiekuna.

XV.

Obojętny i niesprawiedliwy do ostatniej chwili.

W kilka dni po odebraniu listu lorda Seaforth, młody Godfred opuścił Monako. Estera przez ten czas nie miała prawie sposobności do dłuższej i poufnej rozmowy z synem, gdyż mąż usiłował widocznie przeszkodzić temu: przestał chwilowo bywać w Monako, i wymagał aby żona była ciągle przy nim. Biedna Estera zadawała sobie często pytanie co dla niej było przykrzejszem, czy ta jego nieustanna obecność, czy też źle ukrywana radość z powodu wyjazdu syna.

Pragnęła dowiedziéć się od Godfreda jaką postawę zamierza przybrać względem stryja. Przerażona jego niechęcią dla Harolda, chciała wymódz na nim przyrzeczenie, że przez miłość dla niej nie okaże mu jej otwarcie. Otrzymała wprawdzie tę obietnicę, ale nie mogła zbadać jakie zresztą powziął postanowienie.

Godfred Seaforth pozostawał w jakiemś dziwnem usposobieniu umysłu aż do wyjazdu syna; możnaby sądzić że świetna przyszłość otwierająca się przed nim podwajała jeszcze gorycz jego własnego losu, i z tego powodu jego postępowanie z synem było prawdziwie oburzające, i kazało się domyślać że zazdrości szczęścia własnemu dziecku. Smutek żony i córek niecierpliwił go do najwyższego stopnia, drażniło go głębokie przywiązanie dziewczynek do brata, wybuchał gniewem gdy płakały myśląc o jego wyjeździe, lub, gdy aby z nim być dłużej, nie miały ochoty pójść z ojcem na spacer.

To ciągłe rozdrażnienie objawiło się w końcu czynem prawdziwie despotycznym: w dzień wyjazdu nie pozwolił córeczkom odprowadzić brata do dworca kolei. Chciał zabronić tego i żonie, ale spojrzała na niego z takim wyrazem, że musiał odstąpić od tego zamiaru.

Nie mógł jednak zapobiedz temu aby dziewczynki nie płakały rzewnie żegnając brata w ogrodzie, aby mu się nie rzuciły na szyję pieszcząc go i całując tak że trudno je było oderwać od niego, pomimo że brat usiłował je pocieszyć, mówiąc że do nich wróci.

Godfred Seaforth odwrócił się z gniewem, nie chcąc pożegnać dziecka, którego mógł już nigdy nie zobaczyć.

Biedna matka starała się ukryć oburzenie jakie w niej budziło postępowanie męża, i ciężki żal z powodu wyjazdu ukochanego syna! Czy miała prze

mówić do męża, prosić go o jedno choćby przychylniejsze słówko dla odjeżdżającego? Dziewczynki roztrzygnęły kwestyę.

— Ojczulku! ojczulku! wołały biegnąc za nim: wróć się: nie pożegnałeś jeszcze Godfreda.

— Puśćcie mnie! odpowiedział z gniewem, odsuwając je od siebie.

Dziewczynki zdumione cofnęły się od niego, ale brat ich po chwili wahania zbliżył się do ojca i rzekł wyciągając do niego ręce:

— Czy nie zechcesz pożegnać się ze mną, mój ojcze?

Kto wie czyby Seaforth nie odtrącił ręki syna, gdyby nie błagające i pełne boleści spojrzenie żony. Zawstydzony dotknął palcami dłoni syna i rzekł obojętnie: Szczęśliwej drogi. Potem odwrócił się i odszedł.

— Chodźmy już, moje dziecko, rzekła ze łzami Estera, i syn pośpieszył za nią, spojrzawszy raz jeszcze na oddalającego się ojca.

. . . .

W pół godziny później Estera wróciła już sama. Mąż jej stał na balkonie.

— Bawiłaś bardzo długo, rzekł, spostrzekłszy ją. Biedne nasze dziewczątka oczekiwały niecierpliwie twego powrotu, bo im powiedziałem że pójdziesz razem z nami na spacer.

— A! Godfredzie, nie mam dziś siły wyjść na przechadzkę! odpowiedziała słabym głosem.

Smutek zakrwawiał jej serce, a obojętność męża powiększała go jeszcze.

— A to czemu? zapytał, i co znaczy ta rozpaczliwa mina? Wszakże pozyskałaś to czegoś pragnęła już od lat wielu!

Spojrzała na niego surowo, gdyż szyderski ton jego głosu oburzył ją i dodał odwagi.

— Tak, Godfredzie, odezwała się pewnym głosem, dziękuję Bogu że syn mój opuścił dom rodzicielski, w którym obojętność i niesprawiedliwość ojca, zatruwała mu życie; jestem wdzięczną lordowi Seaforth, że dzięki jemu, mogę być spokojną o jego przyszłość... Zatrzymała się, łzy głos jej stłumiły. Ale pomimo to, niestety! dodała cierpię nad tem bardzo że nie ma już przy mnie syna, który był moją chlubą i moją pociechą.

XVI.

Projekta lady Seaforth.

Zachodzące słońce pięknego dnia jesiennego ozłacało gałęzie wielkich drzew w parku Seaforth, a szyby starego zamku błyszczały jeszcze od padających na nie jego promieni.

Drzwi były otwarte do wielkiego salonu, przez który trzeba było przejść, równie jak przez szereg innych sal i pokojów urządzonych z przepychem, ale w zeszłowiecznym guście, aby się dostać do buduaru umeblowanego według najświeższej mody, w którym zastajemy lady Seaforth siedzącą przy herbacie z jedną ze swych siostr.

Lady Seaforth utyła trochę od tego czasu gdyśmy ją widzieli ostatni raz, ale jest zawsze piękna i wydaje się młodszą od swej siostry, lady Małgorzaty Cartwright, robiącej w tej chwili skarpetkę, a na której twarzy maluje się znużenie.

— Bardzo mi przykro, Małgorzato, że nie zobaczysz moich synów, rzekła lady Seaforth. Zwykle całe wakacye przepędzają ze mną, ale teraz byłam zmuszona posłać ich na kilka dni do ich ciotki, mieszkającej w Londynie. Co prawda, wrócą w poniedziałek.

— Zapewnie aby tu być na pierwszy września, powiedziała lady Małgorzata.

— O! tak, odezwała się lady Seaforth z uśmiechem, sądzę że dla żadnej ciotki na świecie nie wyrzekliby się tego dnia, dla tego też wysłałam ich tak wcześnie aby mogli wrócić przed pierwszym września. Czy koniecznie musisz wyjechać jutro? Może mogłabyś zatrzymać się choć do wtorku? przynajmniej jeden dzień byłabyś razem z nimi.

— Bardzo wątpię, odpowiedziała Małgorzata; William ma wrócić do domu w sobotę wieczorem.

Lady Małgorzata Cartwright była najuboższą z siostr, zaślubiła niezamożnego pastora i miała kilkoro dzieci. Z tego powodu bywała rzadko w Seaforth i nigdy nie bawiła tam długo; równie jej jak jej mężowi trudno było wyjechać z domu. Wprawdzie teraz dzieci (miała tylko synów) już dorosły i rozproszyły się po świecie, miała więc trochę więcej wolnego czasu, nigdy jednak nie mogła bawić nigdzie dłużej jak od poniedziałku do soboty.

— Kiedy Kolin wyjdzie z Eaton? zapytała Małgorzata.

— Za pół roku, odpowiedziała lady Seaforth; ale nie cieszy go to bynajmniej, czemu nie dziwię się wcale. Młody chłopiec nie może nigdzie żyć tak przyjemnie jak w Eaton, jeżli tam zajmuje pierwszorzędne stanowisko!

— Masz słuszność, odpowiedziała lady Małgorzata z goryczą.

Lubiła wprawdzie gdy jej siostra opisywała szczęśliwe życie swych synów w Eaton, ale nie raz westchnęła ciężko gdy jej przyszło na myśl jak wielka zachodzi różnica w położeniu ciotecznych braci. Żyć w Eaton, gdzie nauki były tak łatwe a rozrywki tak liczne, następnie wakacye w Seaforth. Czegoż jeszcze można było żądać?

— Cóż zamierza czynić po ukończeniu nauk w Eaton?

— Uda się do uniwersytetu, odpowiadziała lady Seaforth. Pragnę aby Kolin przygotowywał się zawczasu do zawodu parlamentarnego, gdyż zaraz po ukończeniu uniwersytetu zostanie sekretarzem jednego z ministrów.

— Zapewnie umieszczając go dasz pierwszeństwo *premierowi*, rzekła lady Małgorzata z trochę złośliwym uśmiechem.

— Jak tylko skończy lat dwadzieścia, wejdzie do Izby gmin. Zanim to nastąpi, deputowany z naszego hrabstwa zestarzeje się i zapewnie zechce odpocząć; jestem nawet pewną że tak będzie! Kolin wychował się po części w tej okolicy; łagodny i uprzejmy dla wszystkich, jest bardzo lubiony przez fermierów i wieśniaków, mogę też liczyć z pewnością że zostanie przez nich wybranym.

— Ależ Heleno, zawołała lady Małgorzata, zapominasz że on nie ma żadnego majątku, z czegoż więc żyć będzie jeżli najprzód nie zapewni sobie odpowiedniego utrzymania?

— A! odpowiedziała lady Helena, ma się rozumieć że to wszystko o czem dotąd mówiłam, będzie mu służyć tylko za stopnie po których wejdzie do któregoś ministeryum. Protegowany przez ministra, sam zostanie nim w końcu, a tymczasem...

— Tymczasem, rzekła lady Małgorzata, zapewnie szlachetny i szczodrobliwy lord Seaforth będzie łożył na jego utrzymanie.

Biedna lady Małgorzata znajdowała się często w tak złych interesach, że w końcu zaliczyła szczodrobliwość do cnót głównych, i byłaby szwagrowi przebaczyła wszystko za to że dawał tak wiele dzieciom jej siostry.

— Jakież masz zamiary dla Andrzeja? zapytała.

— Andrzej pójdzie także do uniwersytetu, ale na wydział teologiczny, odpowiedziała z żywością lady Seaforth.

— Rozumiem, odezwała się lady Małgorzata, a następnie otrzyma probostwo zależące od lordów Seaforth.

— Które przenosi przeszło tysiąc funtów rocznie, dodała lady Seaforth, a teraźniejszy pastor...

— Tak samo jak deputowany hrabstwa przeniesie się do wieczności w samą porę, zawołała Małgorzata z głośnym śmiechem.

Lady Seaforth była tak zajęta swemi projektami, że nie zwróciła uwagi na ironiczne słowa siostry. Nie czuła tego wcale że jej projekta były śmieszne, i nie przypuszczała nawet aby siostra mogła z niej żartować.

Przeprowadzenie planów które przedstawiła przed chwilą, było głównym celem i zadaniem jej życia. Nadzieja zapewnienia synom szczęśliwej przyszłości stanowiła jej pociechę po doznanych zawodach. Nie śmiała nigdy mówić z mężem o tym przedmiocie, ale nie wątpiła że gdy nadejdzie stosowna pora nie odmówi jej swojej pomocy.

Szczęśliwa z ciebie kobieta, Heleno! rzekła lady Małgorzata, i przyznam się że gdy się zastanawiam nad losem twych synów, którzy tak samo jak moi nie posiadają wcale majątku, i porównywam ich błogie życie z ciężkiem życiem mojego Karola, fermiera w Australii; Jana, osiadłego w Indyach, prawdopodobnie już na zawsze; Franka pracującego u bankiera i zarabiającego zaledwie sto funtów rocznie, i kiedy pomyślę o trzech młodszych którzy nie zdołali jeszcze wywalczyć sobie żadnego choćby najskromniejszego stanowiska, pomimowolnie przychodzi mi na myśl: że nie wszystko idzie na świecie tak jak powinno!

Rozmowę siostr przerwało wejście służącego, który zbliżywszy się do lady Seaforth, rzekł półgłosem: „Lord Seaforth prosi milady aby zechciała zejść do biblioteki."

Lady Seaforth tak rzadko odbierała podobne wezwanie, że zarumieniła się pomimowolnie, potrafiła jednak odpowiedzieć spokojnie:

— Powiedz milordowi że przyjdę za chwilę.

Lady Seaforth ukrywała zawsze przed siostrą jakie były jej stosunki z mężem, więc też i teraz starała się ukryć przed nią swój niepokój i zadziwienie. Postawiła wolno filiżankę, przeprosiła siostrę i wyszła z buduaru. Jednak niespokojność lady Heleny nie uszła oka Małgorzaty, pomimo że gorliwie zarabiała skarpetkę przeznaczoną dla syna mieszkającego w Australii. Jednocześnie twarz jej rozjaśniła się trochę, i łagodny uśmiech ukazał się na ustach.

Prawda, że wielka zachodziła różnica pomiędzy położeniem jej siostrzeńców i jej synów, a większa jeszcze między losem jej i Heleny, ale gdy w tej chwili stanęła jej w myśli twarz męża pobladła od nieustannej pracy, to jak zawsze, widziała ją ożywioną miłym i przyjaznym uśmiechem. Przypomniała sobie wtenczas te długie lata które przeżyła z Williamem Cawrtright tak spokojnie i szczęśliwie, pomimo że nie raz zbywało im na wielu rzeczach. Tak, szczęśliwie, ponieważ kochali się szczerze, i mieli jednakowe upodobania i nawyknienia; i pomyślała znowu: „Nie, nie wszystko idzie na świecie tak jak być powinno!"

Miała zresztą dość czasu do rozmyślania nad tem wszystkiem, bo dawno już skończyła skarpetkę, a lady Helena nie wróciła jeszcze.

XVII.

W lwiej paszczy.

Pójdźmy teraz za lady Seaforth do pokojów jej męża, zawsze równie poważnego i posępnego jak dawniej, który siedział w tej chwili przed kominkiem pogrążony w smutnych myślach.

Wstał natychmiast gdy żona weszła, i przysunął jej fotel ze zwykłą sobie grzecznością, a potem rzekł wracając na swe miejsce.

— Potrzebuję pomówić z tobą, Heleno, w przedmiocie bardzo ważnym, nietylko dla mnie ale i dla ciebie.

Serce lady Seaforth zaczęło bić silniej; z przerażeniem zadawała sobie pytanie co jej zamierza powiedzieć.

— Nie przypominam sobie abym ci wspominał kiedy na kogo ma przejść tytuł i majątek Seaforth'ów, w razie jeźli umierając nie pozostawię syna.

Lady Seaforth wyszeptała przeczącą odpowiedź. Rozmowa o tym przedmiocie była dla niej bardzo przykrą.

— Sądzę że zrozumiesz mnie z łatwością, odezwał się znowu. Ojciec mój wydziedziczył zupełnie mego brata, i przekazał wszystkio jego synowi, wrazie gdybym nie pozostawił po sobie spadkobiercy. Tym sposobem synowiec mój odziedziczy po mnie cały rodzinny majątek. Ale nie wiedziałaś może dotąd że mój brat miał syna?

— Nie wiedziałam nawet że ma żonę, odpowiedziała. Zastosowałam się ściśle do życzenia które wyraziłeś mi przed ślubem, i nie dotykałam nigdy tego przedmiotu, wiedząc że to sprawiłoby ci przykrość.

— I postąpiłaś bardzo dobrze! Teraz także nie poruszyłbym tak przykrego dla mnie przedmiotu, gdyby konieczność nie zmusiła mnie do tego. Potrzebowałem ci powiedzieć że mam zamiar adoptować mego synowca i sam czuwać nad jego wychowaniem, skoro ma być moim spadkobiercą. Będę usiłował zniweczyć w nim złe zasady które musiał przejąć od swego ojca, postaram się aby stał się godnym tego stanowiska które zajmie kiedyś. Obawiam się tylko czy nie będzie już zapóźno! Ułożyłem się już z jego ojcem, i teraz potrzebowałem tylko uwiadomić cię o moich zamiarach, i oznajmić że stosownie do mego życzenia, ma tu przybyć w poniedziałek.

Lord Seaforth przestał mówić jak gdyby czekał na odpowiedź, lecz Helena była zbyt silnie wzruszona aby mogła wyrzec choć jedno słowo. Zdumienie, zazdrość, żal, przerażenie, miotały jej sercem już i tak przejętem obawą którą mąż budził w niej zawsze. Nie raz już oburzało ją to że okazywał jej tak mało zaufania: nigdy i w żadnym razie nie zasięgał jej rady, i dopiero gdy powziął jakieś postanowienie, uwiadamiał ją o tem jakby przez grzeczność. Z czasem przyzwyczaiła się poniekąd do podobnego postępowania, przynajmniej gdy szło o coś mało znaczącego, lub nie obchodzącego jej osobiście; ale teraz czuła się nietylko obrażoną ale i dotkniętą boleśnie jego postępowaniem; wszakże szło o rzecz tak ważną dla nich obojga. Powinien był przynajmniej zapytać o jej zdanie, nadmienić coś o swych zamiarach, aby miała czas przygotować się do podobnego ciosu.

Ale czemże ona była dla niego? niczem, niczem zupełnie. Czy on myślał o jej uciechach, lub o tem aby jej nie sprawić przykrości?

Żałowała zawsze że nie ma syna z powtórnego małżeństwa, ale w tej chwili żal zmienił się w rozpacz, a w sercu jej zrodziło się uczucie zazdrości i nienawiści do tego nieznajomego, który miał zająć miejsce tak gorąco a napróżno pożądanego syna. Zaledwie wysiłkiem woli zdołała powstrzymać gorzkie łzy cisnące się gwałtem do oczu, czuła bowiem iż jeźli nie zdoła zapanować nad sobą i rozpłacze się w obec męża, zostanie na zawsze zgubioną. Najlepszym obecnie środkiem było milczenie, to też nie rzekła ani słowa.

— Pojmuję twoje zadziwienie, mówił lord Seaforth, ale co do mnie, żywiłem myśl tę już od lat wielu. Nie trudź się wypowiadaniem swego zdania; zresztą przyjazd tego młodego człowieka nie wpłynie prawie za zmianę codziennych życia twego stosunków. Sam czuwać będę nad nim, dopokąd nie przekonam się że zaufać mu mogę. Przeznaczyłem mu pokój obok mego gabinetu; wolne chwile spędzać będzie ze mną; w innych pracować będzie z nauczycielem, którego zamówiłem już dla niego. Widzisz więc że nowy mieszkaniec pałacu nie będzie ci zawadzać, prawie nie będziesz wiedzieć że żyje.

Te ostatnie słowa najboleśniej ją dotknęły. Czyliż dążności ich i interesa nie powinny być wspólne? czyż powinien zachodzić taki stosunek między mężem a żoną, aby co obchodzi jedno obojętnem było dla drugiego? Czyż kochając męża mogła nie dbać o co on się troszczył? Czyż nie dość już boleśnem jej było widzieć jak ubolewa nad tem że nie ma syna, trzebaż było jeszcze aby jakiś niewarto zajął w domu jego miejsce? I ciągle będzie mieć go przed oczami, aby nieustannie przywodził jej na myśl bolesny zawód jakiego doznała. To samo już tak trudne było do zniesienia, a tu przykre słowa męża jątrzyły jeszcze jej boleść.

Wtem nagle przyszli jej na myśl synowie, ich położenie i przyszłość. Jakaż to zajdzie zmiana! Rozdrażnienie jej ostatnich teraz dosięgało granic, i byłaby wybuchnęła, ale lord Seaforth i teraz nie dopuścił ją do słowa, mówiąc:

— Nie wiem zupełnie jakie były stosunki mego... synowca ani jakie odebrał wychowanie; sądzę więc że z początku przynajmniej lepiej będzie aby żadnych z synami twymi nie miał stosunków. I dla tego nie żądam abyś go zapraszała do salonu, i nie będę go przyprowadzać do stołu gdy będziesz miała gości. Żądam jednak aby wszyscy w domu otaczali go względami należnemi wnukowi mojego ojca i memu spadkobiercy. Chcę zapomnieć że jest on synem mego brata. Sam zawiadomię służbę o jego przybyciu i stanowisku jakie ma zająć, i wydam rozkazy aby wszyscy uważali i szanowali go jak przyszłego pana, bo gdybym jutro skończył życie zostałby nim natychmiast!

I zanim żona jego ochłonęła z pomieszania, powstał dając jej tem poznać że rozmowa skończona.

Jakby nieprzytomna przeszła do swego pokoju i zamknęła drzwi na klucz. Dnia tego pan i pani Małgorzata Cartwright obiadowali z samym tylko lordem Seaforth, gdyż gdy zadzwoniono do stołu, lady Seaforth kazała uprzedzić swoich gości że gwałtowny ból głowy pozbawia ją przyjemności obiadowania z nimi.

XVIII.

Towarzysze podróży.

Jesteśmy na dworcu kolei King-Cross, w chwili poprzedzającej odejście pociągu.

Piękny, wysoki młodzieniec wsiadł do wagonu drugiej klasy, szybko i zręcznie ułożył swój niewielki pakunek, jak człowiek niebogaty, nawykły sam sobie służyć.

Pociąg był przepełniony, jak zwykle wszystkie odchodzące w dogodnych godzinach w pewne dni tygodnia. Na parę minut przed gwizdnięciem, przybyło dwóch młodych wysokich blondynów, mocno zaniepokojonych swojem opóźnieniem. Były to prawdziwe typy młodych Anglików, wychowanych w zbytkach. Tylko paltoty i parasole trzymali w ręku, zaś worki ich podróżne nieśli za nimi posługacze kolejowi, zalecający im pośpiech. Ani myślą nawet o swoich pakunkach, troszcząc się tylko o to aby się nie spóźnili.

Wszystkie wagony pierwszej klasy są już zajęte: rozgniewani że nie mogą znaleźć w nich miejsca, domagają się dodania wagonu. W trakcie tej sprzeczki rozległ się gwizd lokomotywy; konduktor otworzył drzwi wagonu drugiej klassy, zalecając aby wsiadali co prędzej jeźli pragną odjechać tym pociągiem.

Wrzucono prędko do wagonu portsaki, tłomoczki, dubeltówki, pudełka z kapeluszami i t. p. pakunki, i ciężka maszyna poruszyła się właśnie w chwili gdy młodzieńcy wpadli do wagonu.

Tu wołają naprzemian.

— Gdzież moje pudełko z kapeluszem? Czy jesteś pewny że moja dubeltówka zabrana? Gdzież moje okrycie? — Zawołajno chłopca z gazetami; chcę kupić „Życie piękności" i „Sport" — Rozpatrz się dobrze czy nie brak czego?

Chłopcy rozprzedający gazety biegają na wszystkie strony, i wrzucają numera do wagonów, aż do chwili gdy pociąg ruszył w całym pędzie.

Patrząc na tych młodzików możnaby wziąć ich za starszych synów jakichś milionerów, gdy tymczasem są oni tylko synami Colina Fraser, który żadnego nie zostawił im majątku. Jakże nie odpowiednio do swego położenia zostali wychowani!

Ich towarzysz podróży, usadowiony w rogu wagonu z książką w ręku, popatrzył na nich chwilkę z zadziwieniem, poczem zaczął czytać żadnej już na nich nie zwracając uwagi.

Dwaj bracia przeciągają się, poziewają, wzdychają, nareszcie zaczynają rozmawiać o sporcie, psach, polowaniu i przypuszczeniach jak wiele też w tym roku będzie zwierzyny. Nieznajomy nie odwraca oczu od książki, aż do chwili gdy jeden z nich zaczął rozprawiać „o kniejach Seaforth'u". Wtedy drgnął lekko, podniósł nieco głowę, spojrzał na mówiącego i znów czytać zaczął.

Starszy z dwóch braci zauważył ten ruch i to spojrzenie; nic nie mówiąc rozłożył dziennik i zaczął czytać bratu niektóre wyjątki. Gdy ciemność zapadała, nieznajomy odłożył książkę i zaczął przyglądać się okolicy. Odwróciwszy głowę, ujrzał że starszy młodzieniec wpatruje się w niego z zadziwieniem, i dosłyszał iż szeptał coś bratu „o zadziwiającem podobieństwie."

Wtem dojechano do stacyi na której pasażerowie na inny przesiadają się pociąg, mający doweźć ich do stacyi Seaforth. Pozbierawszy swoje pakunki, nieznajomy przeniósł je do innego wagonu drugiej klasy; zaś niespokojni jego towarzysze zwołali kilku posługaczy. Okazują im wielkie względy; sami urzędnicy zbierają ich pakunki, których pozapominaliby połowę. Wsiadając do wagonu, nieznajomy potrącił przypadkiem jednego z braci, i zaraz przeprosił uprzejmie, zdejmując kapelusz. Młody Fraser odkłonił się, a poznawszy nieznajomego z wagonu, zaintrygowany zaczął znów przyglądać mu się ciekawie.

Pobiegł do zawiadowcy stacyi i zapytał o coś widocznie, na co tenże odpowiedział przecząco poruszając głową.

— Seaforth! Seaforth! krzyknął konduktor na jednej z następnych stacyi.

Pomimo ciemności, można było dojrzéć oczekujący na stacyi piękny powóz, wóz pod rzeczy i fiakr. Na dworcu stał lokaj rozglądający się bacznie po wszystkich wagonach.

— Zdaje mi się że to powóz milorda, rzekł Kolin do brata.

— A! jesteś Williamie! zawołał na lokaja, no, to zajmij się bagażami, nie będziemy czekać.

To powiedziawszy obaj wsiedli do powozu i odjechali natychmiast, zaledwie odpowiedziawszy na uniżone ukłony urzędników stacyjnych.

Oczekujący lokaj nie widział i nie słyszał nic co dwaj młodzi na niego zawołali, bo ciągle nie odwracał uwagi od wagonów. Po długich bezowocnych poszukiwań, niemile zdziwiony zniknięciem powozu, zbliżył się z zapytaniem jakiemś do naczelnika stacyi, ale ten nie umiał udzielić mu żądanych objaśnień. Zawiedziony w oczekiwaniach, z pewnem zakłopataniem zajął się odebraniem bagaży panów Fraser, umieścił je na wozie, odprawił fiakra i odjechał.

Młody nieznajomy poszedł sam po swoje pakunki i dopiero po ich odebraniu zapytał czyby nie mógł dostać nająć powozu któryby go odwiózł do zamku Seaforth. Odpowiedź nie była zadawalniającą. Fiakr już odjechał i znikł z oczu; trzebaby więc chyba udać się do dość odległej oberży, do której droga zajęłaby z dziesięć minut czasu. Nikt nie odgadywał kto może być ten nieznajomy owinięty w wielki płaszcz podróżny. Kazał złożyć rzeczy na mały ręczny wózek i udał się za nim pieszo do oberży, gdzie po wielu trudnościach zdołał nareszcie wynająć bryczkę której właściciel znał drogę do Seaforth.

Droga trwała dość długo—nieznajomy milczał zamyślony. Dojechawszy do kraty parku, wjechali w wielką dwie mil angielskich ciągnącą się aleję, poczem zawróciwszy na prawo, woźnica przejechał około stajni i stanął przed schodami tylnemi, przeznaczonemi dla służby.

Jedna ze służących idąca z latarką zaczęła przyglądać się z pewnem niedowierzaniem nieznajomemu, który zsiadłszy z bryczki, zaczął sam zdejmować z niej swoje pakunki i zwrócił się ku drzwiom kuchennym.

— Przepraszam, ale z kim chce się pan widziéć.

— Z lordem Seaforth.

Dziewczyna zaczęła przyglądać mu się jeszcze baczniej, i po namyśle ofiarowała się przeprowadzić go małym korytarzykiem do pokoju marszałka dworu, a spotkawszy na progu jednego ze służących, powierzyła mu nieznajomego. Gdy tenże wymienił swoje nazwisko, służący rzekł z największem uszanowaniem:

— Niech pan raczy pójść za mną.

I oto w jaki sposób przyszły pan Seaforthu wchodził do pałacu swych przodków.

XIX.

Pierwsze spotkanie stryja z synowcem.

Na odgłos kół powozu toczącego się po zwirowej alei, serce lorda Seaforth silniej bić zaczęło.

Lady Seaforth ze swej strony niecierpliwie oczekiwała przybycia synów, drżąc na samą myśl jaką wiadomość zwiastować im miała.

Lord siedząc jak zwykle samotny przed kominkiem, mówił sobie że lada chwila przybędzie do niego syn Godfreda i Estery... I pytał siebie czy nie przecenia sił własnych, czy zdał sobie sprawę z cierpień jakie codziennie staną się jego udziałem? Obecność tego młodzieńca rozbudzi wszystkie wspomnienia przeszłości; będzie znów słyszał imiona które zapomniéć pragnął. Jakież uczucia zrodzą w jego duszy wspomnienia smutnych i szczęśliwych wrażeń, jakich doznawał w młodości?...

. . . .

Posłyszał turkot... ktoś zajechał. Wstał i podszedł ku drzwiom od przedpokoju a jednocześnie weszli do niego jego wysocy, hałaśliwi pasierbowie. Zobaczywszy lorda, stanęli pozdrawiając go z uszanowaniem; zaledwie skinął im głową i zbliżył się do okna. Powóz odjechał; przyjechali więc tylko synowie Heleny. Zadziwiony zaczął wypytywać się służących i dowiedział się od nich że żaden nieznajomy nie przybył.

Bardzo niezadowolniony, jak zwykle bywa gdy nas zawiodło niemile czyjeś oczekiwane przybycie, co wystawi nas na nowe męki oczekiwania, lord Seaforth wrócił do swego gabinetu w bardzo złym humorze.

— Mogłem się tego spodziewać, pomyślał; zapewnie nie zapamiętał stacyi, trzeba było wysłać kogoś aby oczekiwał na niego jak tylko wyląduje w Anglii.

I zaczął rozmyślać co ma teraz uczynić. Czyby telegrafować do Nicei aby się dowiedziéć czy wyjechał rzeczywiście, czy zawezwać policyą aby rozpoczęto poszukiwania, jeźli przypadkiem przez pomyłkę inną pojechał koleją?

Gdy tak rozmyśla, służący wszedł meldując:

— Pan Seaforth!

Lord Seaforth zerwał się nagle i postąpił kilka kroków naprzód, właśnie w chwili gdy wszedł do gabinetu jego wysoki młodzieniec, poprzedzony przez służącego. Zobaczywszy go, lord drgnął, krzyk zadziwienia wydarł się z jego piersi. Godfred cofnął się o pare kroków—przez chwilę oba wpatrują się w siebie.

Służący wyszedł zamknąwszy drzwi za sobą, a lord Seaforth stał nieruchomy wpatrując się w Godfreda, z niezwykłym na twarzy wyrazem.

Więc to jest syn tego szulera i nicponia!... I na chwilę zapomniał o Godfredzie, nawet o Esterze, opanowany myślą że własnego syna ma przed oczami. Tak, urzeczywistniło się nareszcie marzenie którem pieścił się tak długo! Tak to własny syn jego, taki jakiego tak często ukazywała mu wyobraźnia, stoi przed nim, aby pocieszyć go po tylu cierpieniach i zawodach!

Zapanowawszy nad sobą wysiłkiem woli, postąpił ku Godfredowi, i podając rękę pozdrawiał go w Seaforth. Usiadł wskazując krzesło przybyłemu, i wpatrując się w niego pytał z zajęciem o podróż i powód opóźnienia. Zaledwie jednak Godfred wymówił kilka słów odpowiedzi, lord przechylił się w fotelu i zasłonił twarz obu rękami.

Dźwięk głosu i coś nieokreślonego w całem objeściu Godfreda, przeniosły lorda Seaforth w szczęśliwą, promienną nadziejami przeszłość.

Teraz znikł już syn jego: zdaje mu się że słyszy mówiącą Esterę, że to ona jest obok niego. Gdy opuścił ręce, Godfred spoglądał spokojnie na płonący na kominku ogień—podobieństwo się rozwiało. Jednakże Harold nie ma odwagi dłużej teraz z nim rozmawiać; czuje że trzeba mu uspokoić się i odzyskać moc nad sobą, zanim zdoła znów słuchać tego tak ukochanego niegdyś głosu. Wstał więc i rzekł nie patrząc na Godfreda: —Chodź ze mną, przedstawię cię lady Seaforth, i pokażę ci przygotowany dla ciebie apartament.

XX.

W salonie lady Seaforth.

Inaczej zupełnie spędzano czas w salonie lady Seaforth; hałaśliwe przybycie wesołych jej synów sprowadzało przelotny uśmiech na jej usta; lekki rumieniec występował niekiedy na policzki, tak pobladłe od czasu owej pamiętnej rozmowy w bibliotece.

Weseli i dużo mówiący młodzieńcy, mówili z takiem ożywieniem o wszystkiem co robili i widzieli w Londynie, że matka nie chcąc ich zasmucić, nie wiedziała jak rozpocząć rozmowę o tem co obecnie jedynie miała na myśli.

Starszy syn, Kolin, pierwszy nastręczył do tego sposobność, zacząwszy mówić o jakimś nieznajomym, który przez pewną część drogi jechał w jednym z nimi wagonie, a który był uderzająco podobny do Seaforth'ów. Nie spostrzegł nawet że na te słowa jego twarz matki pobladła bolesne zdradzając wrażenie, tak był zaintrygowany tem niepojętem podobieństwem, które opisywał z najdrobniejszemi szczegółami. Nareszcie Andrzej przerwał mu, mówiąc: iż od czasu spotkania się w wagonie z „tym młodym podróżnym" brat jego ciągle o nim tylko mówi.

— Bądź co bądź, zawołał znowu Kolin, jest tak piękny jak dotąd nie widziałem jeszcze nigdy; to istny obraz...

Przerwała mu lady Seaforth:

— Wasze spotkanie z tym młodym człowiekiem jest rzeczą bardzo prostą, rzekła, gdyż lord Seaforth oczekuje właśnie swego synowca, syna owego brata swego, który za złe postępowanie został wygnany z domu rodzicielskiego... Łatwo więc można wyobrazić sobie jak wychował swego syna... Zapewnie spędził on swe młodociane lata wśród szulerów i oszustów.

— I po cóż on tu przyjeżdża? zapytał Andrzej dorozumiewając się prawdy; a mniej domyślny Kolin spytał jednocześnie: — Czy długo ma tu zabawić?

— Lord Seaforth adoptuje go i mianuje swoim spadkobiercą, a więc pozostanie tu na zawsze, odpowiedziała im matka.

Andrzej zrozumiał ją od razu, ale Kolin zawołał:

— Otóż mnie się nie zdaje żeby to miał być jakiś ladaco, i nie sądzę aby dla tego jedynie że ojciec źle postępuje. syn miał wstępować w jego ślady!

— Mniejsza o to! W każdym razie zabraniam ci wchodzić z nim w jakiebądź stosunki; nie wiemy czy i on także nie jest szulerem, i nie chcę abyście się z nim zaprzyjaźniali. Zresztą sam lord Seaforth pragnie tego abyście byli z sobą zdaleka, przynajmniej obecnie, i chce rozciągnąć ścisły nadzór nad synowcem, dopóki się nie przekona że można mu zaufać.

— Biedny chłopiec! zawołał znów Kolin, czy to się godzi karać syna za postępki ojca! To już zbytnia surowość!

— Bądź co bądź, w obecnej chwili najlepiej zastosować się do woli jego stryja, odpowiedziała zimno lady Seaforth. Zdaje mi się zresztą, Kolinie, że zawcześnie występujesz w jego obronie i objawiasz dla niego jakieś przyjazne uczucia, może to ochłodzi twój zapał, skoro się dowiesz że jego obecność w Seaforth pozbawia was stanowiska jakie zajmowaliście tu dotąd, i oddziała niepomyślnie na waszą przyszłość.

(*D. c. n.*)



N. 1. Sukienka z kamizelką. Patrz ryc. 28. Krój (lat 3 — 5) na arkuszu N. VI, fig. 22—27.

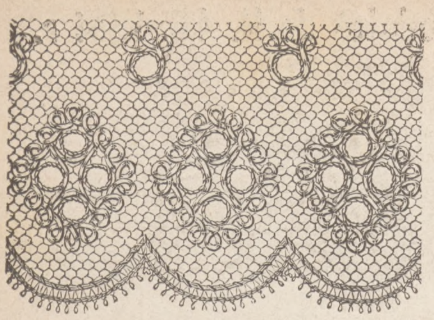
N. 2. Suknia zdobna naszyciem z pletni. Kroj na arkuszu N. IX, fig. 30-31.

N. 3. Suknia z panier. Patrz ryc. 14 i 42 w N. 45. Wskazanie kroju na arkuszu N. X, fig. 32.

N. 4. Dolman aksamitny. Wskazanie kroju na arkuszu z krojami N. III, fig. 11.

N. 5. Suknia z vêtement. Patrz r. 1 w N. 45. Krój vêtement na arkuszu N. XI fig. 33.

N. 6. Płaszczyk z szerokiemi rękawami. Patrz ryc. 13. Krój na arkuszu N. IV, fig. 12—14.



N. 7. Koronka wywodzona na tiulu do ryc. 9.

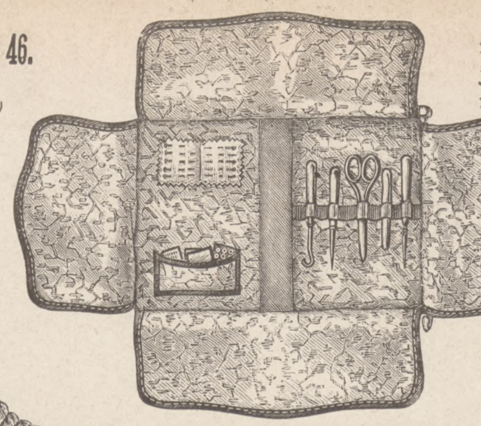
Opis do N-ru 46.

(Dalszy ciąg.)

Każda część fałduje się podług znaków wzdłuż brzegów bocznych i przyszywa wprost na sukni; układ draperyi tylnej e wskazuje fig. 31. Naszycie z pletni dane poprzecznie na kamizelce, a podłużnie na kształt chusteczki na staniku, spiętym w pasie agrafką szmuklerską. Plecy tworzą fałdowane karoczko, dopełnione do długości boczków oddzielnie dodaną częścią fałdowaną, 26 cent. długą a 96 szeroką.



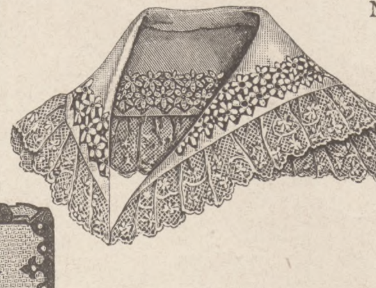
N. 10. Kołnierz z marszczonej materyi i koronki.



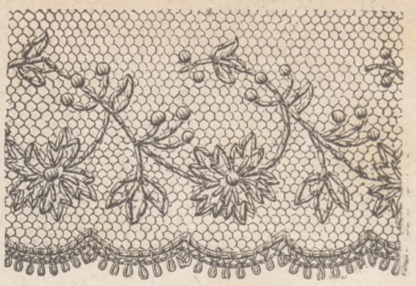
N. 12. Neseser do robót. Otwarty. Patrz r. 11 i f. 45.



N. 11. Neseser do robót. Wyszycie na skórze. Patrz ryc. 12.

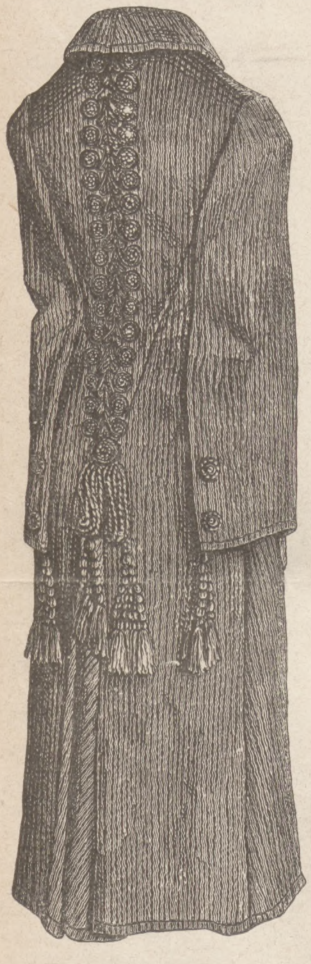


N. 9. Kołnierz marynarski dla młodej panienki. Krój i deseń na arkuszu N. VII, fig. 28—28a.



N. 8. Koronka wywodzona na tiulu, do ryc. 9.

N. 4. Dolman aksamitny. Wskazanie kroju na dodatku fig. 11.



N. 13. Płaszczyk z szerokiemi rękawami. Przód i krój patrz ryc. 6.

Czarny aksamitny dolman podszyty materyą, formą zbliżony jest bardzo do dawniejszych, dla tego też dajemy krój tylko w małeńkim formacie. Przybranie stanowią sznury szmuklerskie i guziki.

N. 6 i 13. Płaszczyk z szerokiemi rękawami. Krój na arkuszu N. IV, fig. 12—14.

Przedstawiony z przodu i z tyłu na ryc. 6 i 13 uszyty z materyału czarnego z bronzowym, przerabianego jak na szale, zapięty jest na guziki a z tyłu ma przybranie szmuklerskie. Łatwą i dogodną formę dopasować można podług zmniejszonego formatu fig. 12; plecy odcięte są krócej i dopełnione fałdowaniem idącem od boczków; fałdy zamocowane są aż do dołu, żeby się nie rozsuwały. Rękawy których krój daliśmy w całej wielkości przyszywają się do płaszczyka podług ryc. 6 od T — V, a składając gwiazdką do gwiazdki, przyczepione są na boczkach; wykład 12 cent. szeroki. Kołnierz okrągły 10 cent. szeroki.

N. 7 — 9. Kołnierz marynarski dla młodej panienki. Krój i deseń na arkuszu N. VII, fig. 28—28a.

Fig. 28a załącza deseń angielskiego haftu, stanowiącego ażurowy szlak przy kołnierzu, uszytym z podwójnie wziętego płótna. Brzegi oszyte koronką ręcznie wywodzoną podług r. 7 lub 8.

N. 14 i 33. Suknia z vêtement. Krój na arkuszu N. XII, fig. 34.

Przedstawiamy dwie suknie zupełnie odmienne, lecz krajane podług jednej formy; ryc. 14 przedstawia ubranie jesienne domowe lub spacerowe, zaś na ryc. 33 widzimy suknię jedwabną a vêtement z koronki hiszpańskiej. Formę princesse łatwo dopasować podług zwykłej formy stanika, przedłużonej podług fig. 34. Przody mają podszewkę ściśle dopasowaną z zaszewkami, wierzch zaś dany luźno bez zaszewek, przyciśnięty paskiem idącym od boczków. Szerokość zbywająca przy plecach, składa się w fałdy zachodzące pod spód; przez złożenie fałd bocznych ściśle na siebie zachodzących, vêtement skrócone jest do 52 cent., fałdy spływające od pleców trzeba po ułożeniu przyczepić gdzieniegdzie żeby się układały zgrabnie. Na ryc. 33 vêtement naokoło brzegów przy krótkich rękawkach i szerokim kołnierzu ogarnirowane jest marszczoną koronką, 8 cent. szeroką. Kokardy z wstążki morowej 5 cent. szerokiej. Na ryc. 14 widzimy vêtement z szewiotu, lamy lub t. p. wełnianego materyału, ozdobione w około brzegów tylko rzędami stębnówki; kołnierz i mankiety z tego materyału co suknia np. z pluszu, aksamitu lub atłasu. Kokardy morowe.



N. 14. Suknia z vêtement. Krój patrz ryc. 33.



N. 15. Serwetka podłużna z wyszyciem sznureczkowem. Patrz r. 16-17. Deseń na ark. fig. 36-38.

N. 15—17. Serwetka podłużna z wyszyciem sznureczkowem. Deseń na dodatku fig. 36—38.

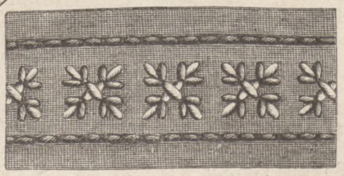
Podajemy nowy rodzaj ściegu, a raczej wyszycia sznureczkowego, naśladowanego podług dawnych wzorów; r. 16 przedstawia w naturalnej wielkości deseń wyszycia zajmującego środkowy kwadrat. Na modelu z którego deseń ten jest naśladowany, wyszyty był rok 1669; fig. 36—37 dają deseń narożników z ptakami siedzącemi u góry; podział na kwaterki przez wyszycie szlaku widzimy na ryc. 15; fig. 38 załącza deseń rozety do dwóch rogów środkowego kwadratu. Ścieg sznureczkowy wyszywa się grubą krętą bawełną, dwoma nitkami, jak to wskazuje w zwiększeniu r. 17; ściegi dają się nie od strony prawej na lewą, lecz od lewej na prawą, nie wyciągając nitkę prosto lecz przekładając skośno, co po przyciągnięciu nitek stanowi jakby węzeł. Obręb w około serwety oddzielony jest kratką ażurową.



N. 16. Deseń na kwadrat środkowy do ryc. 15.



N. 17. Wyszycie ściegu sznureczkowego do r. 15.



N. 18. Szlaczek do r. 29 w N-rze 45.

N. 20. Kołnierz chusteczkowy z żabotem.

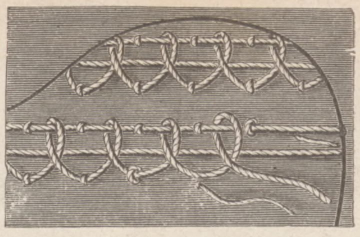
Kołnierz cały zaplisowany wszyty w pasek 2 cent. szeroki,



N. 24. Naszycie sznureczka środkiem dwóch rzędów łańcuszkowych, do haftu alliance ryc. 23.



N. 19. Koronka siatkowa. Siatka robi się na szerokość koronki; wyszycie dane ściegami różnego rodzaju.



N. 25. Ścieg zapełniający środek figur narożnych w r. 23.



N. 20. Kołnierz chusteczkowy z żabotem.

34 długi, układa się z kawałka gazy 9 c. szerokiego, 120 długiego, oszytego koronką 5 cent. szeroką. Żabot stanowią związane w kokardę końce gazowe, 70 cent. długie, 30 szerokie oszyte koronką.

N. 21. Czepeczek z materyi surah.

Podstawą negliżyka z różowej materyi z białą koronką, stanowi pasek sztywnego tiulu złożony w ząb, 6 c. szeroki a 29 długi, złączony z tyłu paskiem jedwabnym. Do twarzy dana trzema rzędami koronka marszczona, z boków przysłonięta materyą; główka dana z kawałka 45 cent. szerokiego a 32 długiego, u góry i u dołu przemarszczonego kilkakrotnie w nagłówek 3 c. szeroki. Kokardy z atłasowej wstążki.

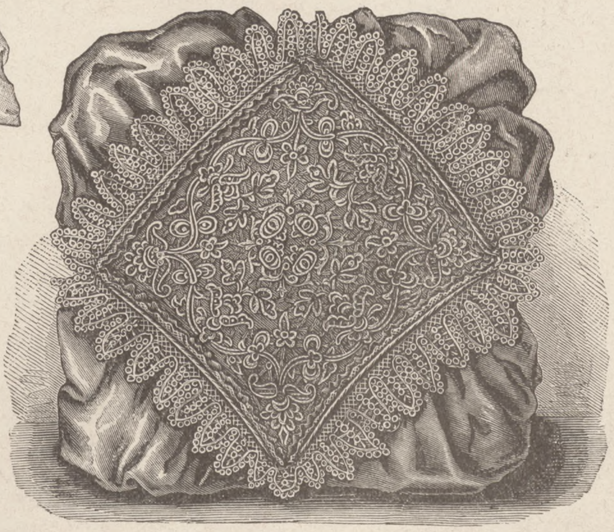
N. 22—25. Poduszka do kanapy. Haft alliance.

Haft alliance składa się z rozmaitych ściegów i kratek koronkowych, tudzież z rzędów wyszycia łańcuszkowego, złączonych naszytym z wierzchu sznureczkiem — to połączenie rozmaitych kratek i ściegów jest nader efektowne i piękne jak to możemy osądzić z ryc. 23. Przedstawia ona bardzo gustowny deseń odrobiony srebrem na żółtym atłasie; kontury wyszyte są dwoma rzędami łańcuszkowemi, przytrzymanemi srebrnym sznureczkiem naszytym z wierzchu podług ryciny 24. Ryc. 25 uczy nowego rodzaju wyszycia, zapełniającego środki niektórych figur. Na r. 22 przedstawiliśmy poduszkę wykończoną z atłasu vieil-or, bufowanego na rogach, haft zaś ma brzegi oszyte grubym sznurem srebrnym i szeroką srebrem przerabianą koronką.

(D. n.)



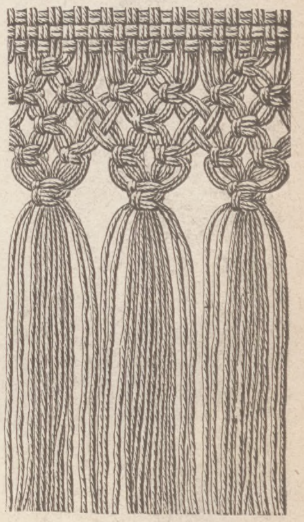
N. 21. Czepeczek z materyi surah.



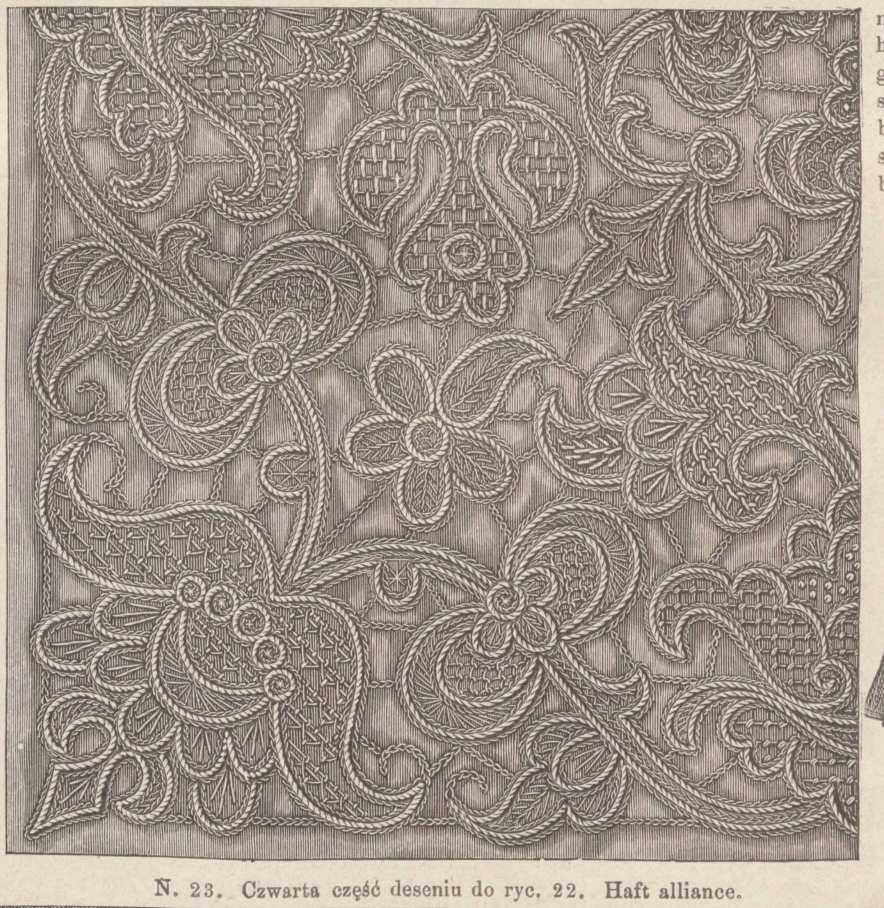
N. 22. Poduszka do kanapy. Haft alliance. Patrz ryc. 23—25.



N. 26. Frendzla do r. 30 w N-rze 45.



N. 27. Frendzla do ryc. 30 w N-rze 45.



N. 23. Czwarta część deseniu do ryc. 22. Haft alliance.



N. 28. Sukienka z kamizelką. Patrz ryc. 1.



N. 24. Ubranie dla chłopczyka. Patrz r. 3 w N. 45. Krój na ar. N. V, f. 15-21.



N. 30. Szlak. Haft aplikowany z podkładaniem. Deseń fig. 35.



N. 31—38. Ubrania strojne wizytowe.

N. 31. Fartuszek dla małej dziewczynki.

N. 32. Suknia z przemarszczeniem. Patrz r. 16 w N. 45. Wskazanie kroju tuniki na dodatku N. VIII, fig. 29.

N. 33. Suknia z koronkowem vêtement. Patrz r. 14. Krój na arkuszu N. XII, fig. 34.

N. 34. Sukieneczka z wyszyciem z perełek.

N. 35. Suknia zdobna kokardami i koronką.

N. 36. Suknia z wielkim trenem.

N. 37. Vêtement z kołnierzem chusteczkowym.

N. 38. Ubranie z chustką koronkową.

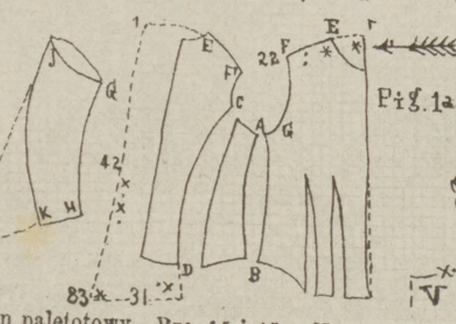
TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1881 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 45 i 46.

N. I. Stanik z baskiną i przemarszczaniem. Ryc. 17-18 w N. 45.

Fig. 1. Przód (A, B, E, F, G, *, :) 1 założenie formy ▬▬▬
Fig. 2. Boczek (A, B, C, D) ⟷ ⟷
Fig. 3. Połowa pleców (C, D, E, F) ✕ ✕
Fig. 4. Rękaw (G, H, I, K) ▬ ▬ ▬
Fig. 1a—4a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju fig. 1—4, z oznaczeniem linją kropkowaną naddania materyału na marszczenie.



N. II. Dolman paletotowy. Ryc. 15 i 45 w N-rze 45.

Fig. 5. Przód (L, N, O, S) ▬ ▬
Fig. 6. Boczek (L, M, ·) ∼∼∼
Fig. 7. Połowa pleców (M, N, O, Q, R) ├─┤ ├─┤
Fig. 8. Rękaw z linją przecinającą formę.
Fig. 8A. Zwierzchnia połowa (L, O, P, *, :) ─◆─ ─◆─
Fig. 8B. Spodnia połowa (L, P, Q, *, :, +)
Fig. 9. Klin dopełniający rękaw (L, +, ·) * * * *
Fig. 10. Połowa kołnierza (R, 8) ○ ○ ○ ○

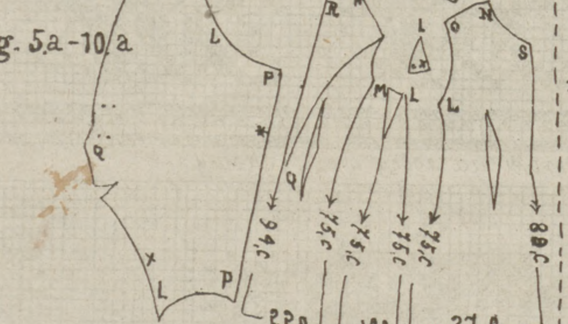


Fig. 5a—10a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju fig. 5—10.

N. III. Dolman. Ryc. 4 w N-rze 46.

Fig. 11. Wskazanie kroju połowy okrycia: *a* przód, *b* połowa pleców, *c* zwierzchnia, *d* spodnia połowa rękawa.

N. IV. Płaszczyk z szerokiemi rękawami. Ryc. 6 i 13 w N. 46.

Fig. 12. Wskazanie kroju połowy płaszczyka: *a* prrzód wraz z boczkiem, *b* drugi boczek (*), *c* połowa pleców.
Fig. 13. Zwierzchnia połowa rękawa (T, U, V, W, X, *) 1 założenie
Fig. 14. Spodnia połowa rękawa (T, U, V, W, X) 1 założenie
Fig. 13a—14a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju fig. 13—14 wraz z fig. 12.

N. V. Ubranie dla chłopca lat 2—4. Ryc. 3 w N-rze 45 i ryc. 29. w N-rze 46.

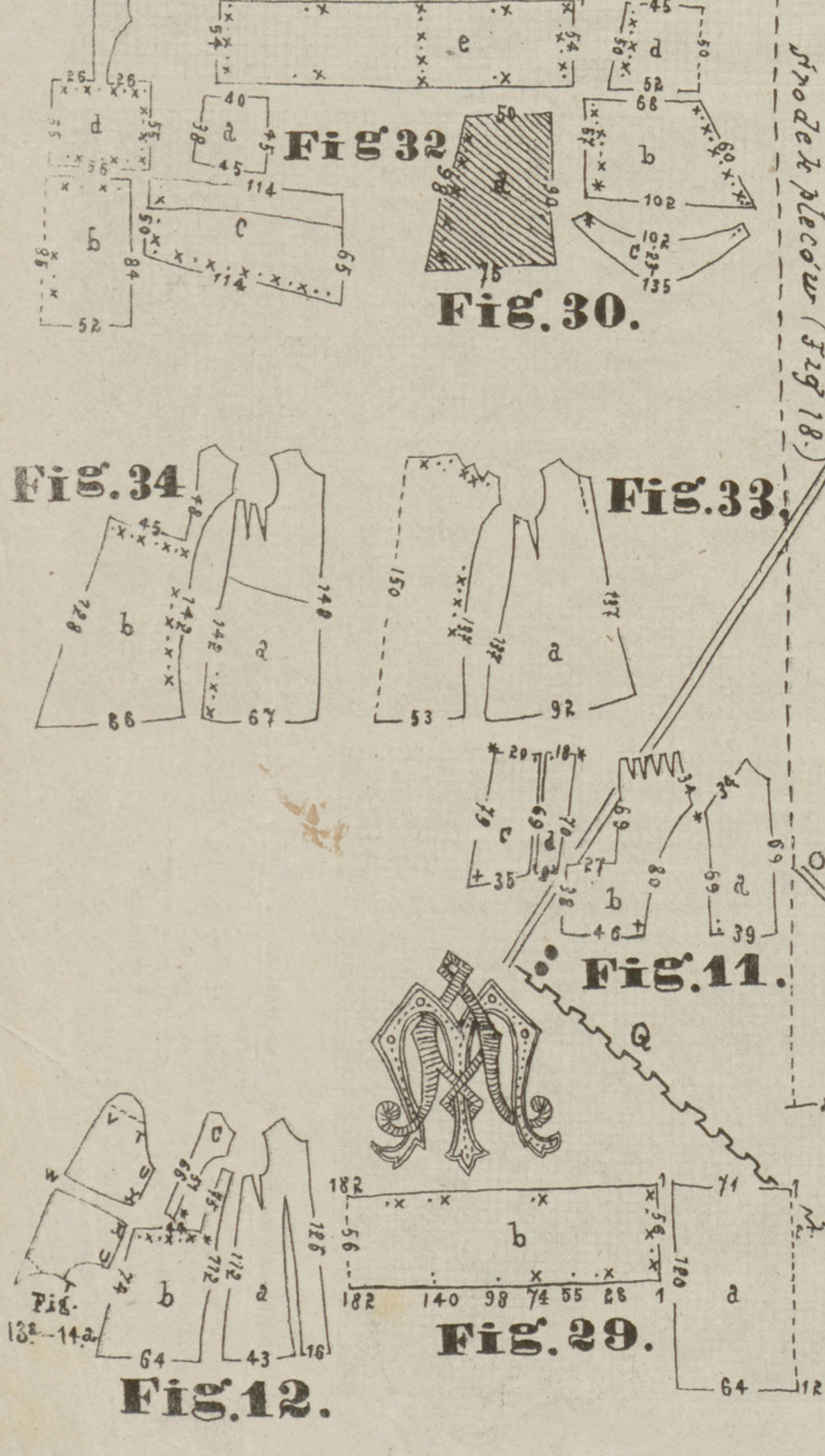
Fig. 15. Majtki (a, b, c, d, e, f, g, h, ✕ 1 i · 1 do ✕ 2 i · 2) ● ● ● ●
Fig. 16. Połowa spodniego stanika (i, k)
Fig. 17. Przód z fałdowaniem (l, m, n, o, p, w) ═✕═✕
Fig. 18. Połowa pleców (l, m, n, o, v) ─✕─✕
Fig. 19. Rękaw (p, q, r, s)
Fig. 20. Wykład do rękawka (s, t, u)
Fig. 21. Połowa szerokiego kołnierza (v, w)

N. VI. Kołnierz marynarski. Ryc. 7—9 w N-rze 46.

Fig. 28. Połowa kołnierza ·✕·✕·✕
Fig. 28a. Deseń haftu.

N. VIII. Tunika do sukni. Ryc. 2 w N-rze 46.

Fig. 29. Wskazanie kroju połowy tuniki: *a* połowa przodu, *b* połowa tylnego bryta.





N. IX. Tunika do sukni. Ryc. 16 w N. 45 i ryc. 32 w N. 46.

Fig. 30. Wskazanie kroju tuniki: *a* dolna przednia część, *b* górna przednia część, *c* część dopełniająca, *d* część szalowa, *e* bryt tylny.
Fig. 31. Plecy do ryc. 16 i 32.

N. X. Tunika à panier, do ryc. 14 i 42 w N. 45 i ryc. 3 w N. 46.

Fig. 32. Wskazanie kroju połowy tuniki: *a* karoczko, *b* bryt tylny, *c* część panier, *d* połowa pleców.

N. XI. Długie vêtement do sukni. Ryc. 1 w N. 45 i ryc. 5 w N. 46.

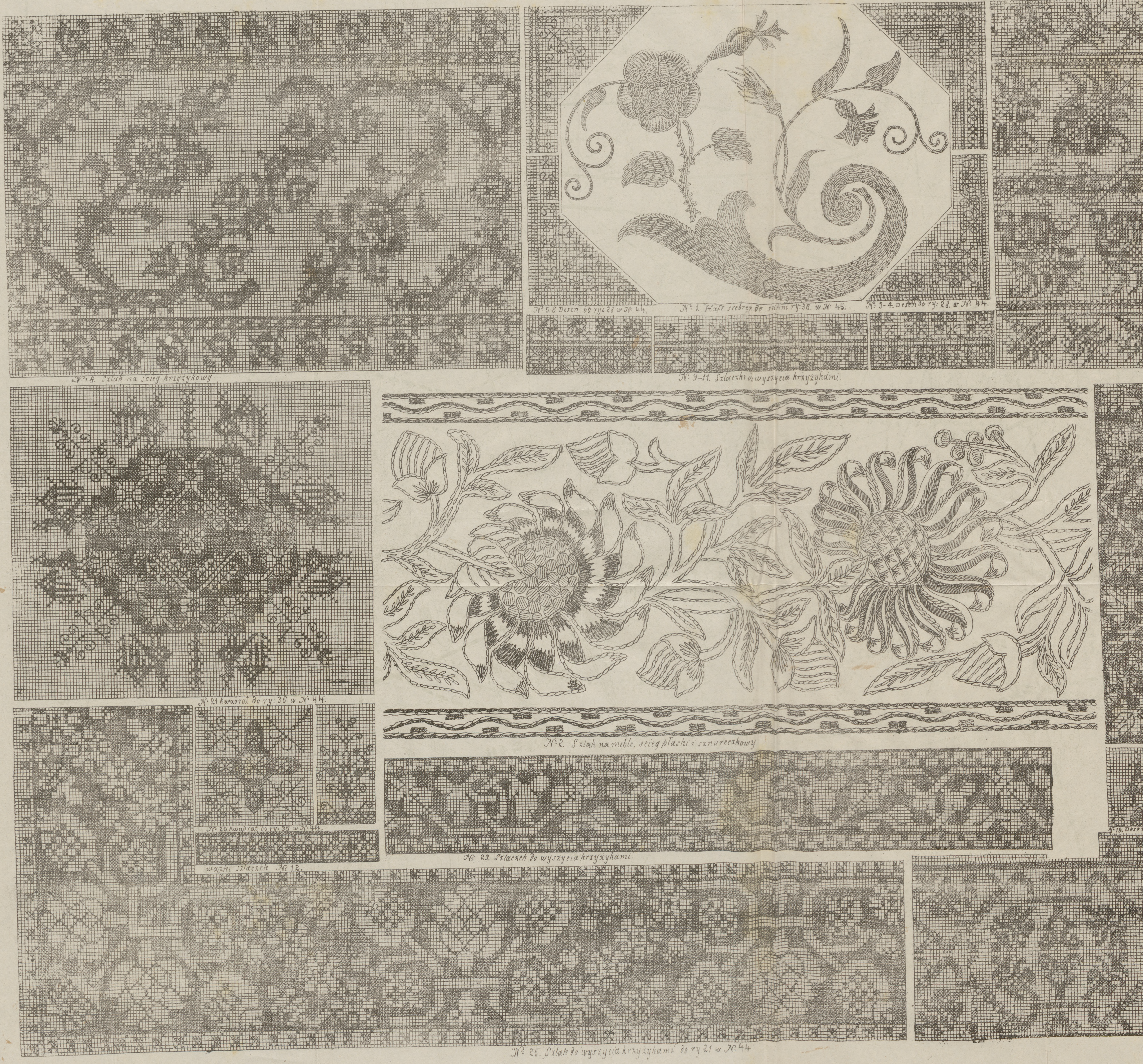
Fig. 33. Wskazanie kroju połowy vêtement: *a* przód i boczek, *b* połowa pleców.

N. XII. Vêtement z paskiem ze wstążki do ryc. 14 i 33 w N. 46.

Fig. 34. Wskazanie kroju połowy vêtement: *a* przód, pierwszy i drugi boczek, *b* połowa pleców.

Desenie.

Fig. 35. Szak do ryc. 30 w N-rze 46.
Fig. 36—38. Gałązka, ptak i narożnik do ryc. 15—17.
Fig. 39—44. Deseń do malowania na drzewie do ryc. 24-27 w N. 45.
Fig. 45. Połowa deseniu do ryc. 11—12 w N-rze 45.
Fig. 46. Deseń łańcuszkowy do ryc. 43—44 w N-rze 45.



N. VI. Suknia z kamizelką dla dziewczynki lat 3—5. Ryc. 1 i 28 w N-rze 45.

Fig. 22. Przód z oznaczeniem kamizelki (1, 2, 7, 8, 9, 14, *)
Fig. 23. Boczek (1, 2, 3, 4, *)
Fig. 24. Połowa pleców (3, 4, 5, 6, 7, 8)
Fig. 25. Rękaw (9, 10, 11, 12, 13)
Fig. 26. Połowa wykładu (12, 13)
Fig. 27. Połowa kołnierza (14, 15)